

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

kódź

NR 14 (1113) ROK XXII

8 KWIETNIA 1979 R.

CENA 3 zł

EUGENIUSZ IWANICKI

## JEDENASTKA ZE SKRZYWANA

— Jak masz na imię?  
— Marcin.  
— Ile masz lat?  
— 13.  
— Kto cię tu przyprowadził?  
— Milczenie. Głowa nisko pochylona, oczy wbite w podłogę.  
— Milcjan.  
— Dlaczego? Tytu chłopców chodzi po ulicach i nikt ich nie zatrzymuje. Gdzie cię zatrzymano?  
— Na dworcu, chciałem pojechać do babci na wieś.  
— A gdzie babcia mieszka?  
— Milczenie. Ręce założone do tyłu, palce splecione, wzrok szuka czegoś na parkiecie.  
— O której cię zatrzymano?  
— W nocy.  
— A kiedy ostatni raz byłeś w domu?  
— Wzrusza ramionami — nie pamięta.  
— Powiedz, Marcin, dlaczego uciekłeś z domu?

Głowa opada jeszcze niżej, ręce podnoszą się do oczu. Chce być twardy, opiera się wzruszeniu, lecz łzy są silniejsze i zaczynają pełzną po wychudłych policzkach.  
— Bo... bili mnie... wyganiali... chciałem mieć pieska, to ojciec go uderzył... piesek zdechl... mnie także bił i mówił, żebym zdechl...  
Jedną z wielu dziecięcych tragedii. I bardzo typową. Matka ma ich pięć, każde z kimś innym. Co jakiś czas w domu pojawia się nowy mężczyzna, na którego muszą mówić „ojciec”. Zazwyczaj taki „ojciec” zaprowadza nowy porządek i wprowadza hierarchię. Porządek — to bezwzględne posłuszeństwo, hierarchia — to on tu jest najważniejszy i tak ma być Wódka, piątka, skandale, bóle. O dzieciach jakoś się nie pamięta. Dopiero, gdy trzeba kogoś posłać do meliny po alkohol, przypomina się o ich istnieniu.

— Marcin uciekł tydzień temu, właściwie został wyrzucony z domu, bo ośmielił się przynieść psa. „Co? — krzyczał „ojciec” — jedna gęba do karmienia więcej? Nigdy!”  
Złotego, brudnego i głodnego chłopca przyprowadził milicjant do Milicji Izby Dziecka.

Secesjny pałacyk jakiegoś drobnego przedsiębiorcy przy ul. Skrzywana został zaadaptowany na potrzeby placówki opiekuńczo-wychowawczej. Wybór nie był najszybszy ze względu na brak podwórza lub botał sadu, gdzie latem młodzież mogłaby swobodnie korzystać z zabaw na świeżym powietrzu.

Historia łódzkiej Milicji Izby Dziecka zaczęła się w maju 1946 roku przy ulicy Kopernika 36. Po wojnie pozostało dużo sierot, dzieci bezdomnych, waleśniących się, żebrzących, dokonujących różnych, często poważnych przestępstw. Już w pierwszym miesiącu działalności ówczesnej Izby Zatrzymań dla Nieletnich trafiło do niej 43 dzieci, z których część umieszczono w Domach Wychowawczych, część oddano do dyspozycji Sądu dla Nieletnich, część zaś przekazano pod opiekę rodziców.

Obecnie placówka ta obejmuje swą działalnością województwo łódzkie, skierniewickie, piotrkowskie. Przyjmowani są tu nieletni w wieku od 3 do 18 lat — zabłąkami, pozba-

wieni opieki, uciekinierzy z domów rodzicielskich, z placówek opiekuńczych, zakładów wychowawczych i poprawczych, schronisk, nieletni przekazani z Izby Wyrzeczów oraz nieletni, którzy popełnili czyn podlegający karze. Nie przyjmuje się tu nieletnich w wieku powyżej 16 lat, którzy dokonali lub usiłowali dokonać zabójstwa, napadów z bronią lub niebezpiecznym narzędziem.

Ci, w stosunku do których dochodzenia prowadzi jednostki MO, mogą tu przebywać 48 godzin. Dalsze przetrzymywanie jest uzależnione od wydania postanowienia Sądu dla Nieletnich lub prokuratora. Pozostali przebywają tu do chwili ustalenia bliższych danych, a także do momentu ustalenia komu dziecko powierzyć, lub dokąd je skierować. Okres pobytu nie powinien w zasadzie przekraczać 12 dni; w łódzkiej Izbie trwa on zazwyczaj 3 do 4 dni.

— Powszechnie sądzi się, że jest to miejsce zakładu karnego, do którego trafiają dzieci, które weszły w kolizję z prawem. A jak jest naprawdę?

— Najczęściej dzieci przyprowadzane są przez funkcjonariuszy MO. Znajdowane są śpiące w parkach na ławkach, zatrzymywane, gdy walsują się na dworcach kolejowych i autobusowych, lub przylapywane w chwili dokonywania przestępstwa. — mówi kierownik Milicji Izby Dziecka w Łodzi, kpt. Halina Kupińska. — Bardzo często zabiera się je także z melin pijackich i sutenerkich. Z reguły głodne, zaniedbane, wystraszone. Nieraz aroganckie, wyzywające, mają żal do całego świata. Umiejętne wychwytywanie przyczyn takiej życiowej postawy jest zadaniem trudnym i wymagającym dobrego przygotowania pedagogiczno-psychologicznego.

Przed wszystkim dążymy do tego, by dziecko czuło się bezpiecznie. Dziecko powinno mieć w kimś oparcie, móc kogoś kochać, komuś ufać, dzielić się z kimś swoimi wątpliwościami, troskami i radościami. Niestety, często nasza Izba jest pierwszym miejscem, w którym dziecko otrzymuje łóżko, pomoc, ma spokój, jest otoczone troską i należytą uwagą.

Poza tym jest praca na co dzień, obejmująca nie tylko opiekę nad dzieckiem, ale także kontakty z jego rodzicami lub rodziną, z Sądem Rodzinnym i Sądem dla Nieletnich, z Kuratorium Oświaty i Wychowania, z terenowymi Inspektoratami Oświaty i Wychowania, ze szkołami, Ligą Kobiet, ZSMP, OHP, z zakładami pracy, rodziców zatrzymanego dziecka, z Poradnią Wychowawczą, z Zawodową, Poradnią Zdrowia Psychicznego, z terenowymi jednostkami MO (często z terenu kraju).

— Ile osób pracuje w łódzkiej Izbie Dziecka?

— Załedwie 11, podczas gdy przeciętnie przez naszą Izbę przewija się rocznie około 1.500 dzieci i młodzieży. Wszyscy pracownicy to nauczyciele z długoletnim stażem pedagogicznym. Oprócz mnie są tu: Barbara Bogusz, Jan Berłowski, Jerzy

Dalszy ciąg na str. 3



Foto: Archiwum

BOGDA MADEJ

## LUDZIE LISTY PISZĄ (o poczcie)

Rozwój życia społecznego i gospodarczego zrodził wzrost zapotrzebowania na usługi poczty. Ludzie coraz częściej komunikują się między sobą za pośrednictwem poczty, tą drogą komunikują się z instytucjami i instytucje ze swymi klientami, coraz więcej i intensywniej krąży za pośrednictwem poczty pisma między instytucjami. Używając przenośni, można powiedzieć, że nieustannie pęcznie torba listonosza.

Dalszy ciąg na str. 5

### W NUMERZE:

#### Upór z drzewa i kamienia

Ktoregos wieczoru jedna z sąsiadek przechodziła obok furtki. Nagle zaszelekał pies. Zaskoczona tym kobieta spojrzęła na jaśniejące w blasku księżyca postacie. Wydała głośny krzyk i uciekła do swojego domu.

#### Złota pajęczyna

Eleonora była panną z najlepszego domu w dzielnicy willowej, córką wielkiego geszefciarza, a Remigiusz zwyczajnym „lapiuchem” ze starej czynszówki, na skromnej państwowej posadzie.

#### Wizyta

W środku trzuplarni nie było nic, zupełnie nic, oprócz dwóch ciał na noszach, owiniętych szczelnie w grubą jutową tkaninę i przywiązanych sznurami do kijów nosideł.

#### Historia w życiorysie

Do Łodzi przyjechali we trójkę, razem z kapitanem Leonem Grosfeldem i kapitanem Tadeuszem Ładogórskim, dziś profesorem jednej z wrocławskich uczelni. Drukarnia mieściła się przy ulicy Piotrkowskiej, tam, gdzie dziś znajduje się budynek mieszczący sale obrad Rady Narodowej m. Łodzi.

#### POZA TYM:

#### ■ Historia pewnego sporu

#### ■ Monachomachia w studenckim wydaniu

#### ■ Ludzie listy piszą...o poczcie

#### ■ Konfrontacje filmowe—78

#### ■ Dzieci z milicyjnej izby

#### ■ Felietony

#### ■ Polityka



Przyjęta w pierwszej części relacji z przebiegu tegorocznych Konfrontacji konwencja nakazuje poświęcić kolejnym filmom kilka słów przedstawiających ogólnie z nich wrażenia.

**„BLISKIE SPOTKANIA TRZECIEGO STOPNIA”** Stevena Spielberga oczekiwane były z dużym zainteresowaniem, gdyż jak widać telewizyjny serial „Kosmos 1999” nie zaspokaja miłośników science-fiction, żyjących w kraju, w którym pisze Stanisław Lem. Film Spielberga, o czym świadczą dochodzące opinie, spotkał się u nas z bardzo różnym przyjęciem. Głosem pełnym zachwytu towarzyszą głosy pełnej negacji filmu, który po „Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka jest, przy całej swej technicznej doskonałości, krokiem wstecz. „Bliskie spotkania” wskutek swego infantylizmu nie wytrzymują próby konfrontacji z filozoficznym tonem „Odysei”. I tak to, jak sądzi, jest. Niemniej, naiwnej baśniowości filmu Spielberga nie sposób odmówić perfekcji w sposobach tworzenia właściwego klimatu. Zdjęcia i efekty specjalne, zwłaszcza świetlne, biją już na głowę cuda wyczarowane przez Kubricka, okazuje się, że kilka lat znaczy wiele dla technicznych możliwości kina. Nie ograniczając się do spraw warsztatu Spielberga, warto podkreślić, że w filmie jego odnajdujemy rzecz inną, kto wie, czy dla gatunku science-fiction nie istotniejszą. Nie będąc specjalistą w zakresie tego tematu, ośmielam się jednak sądzić, że po raz pierwszy w filmie inne cywilizacje nie jawią się jako groźna i niszcząca Ziemię siła. Po raz pierwszy też przybyszy z Kosmosu wita się z zainteresowaniem i sympatią, a oni nie wykazują wobec nas żadnych złych intencji. I choć to bliskie spotkanie trzeciego stopnia w szczegółach wypada nieco humorystycznie, mniamać należy, że film Spielberga jest pochodną dociekań i działań ufologów-naukowców i ufologów-amatorów. Przyzwyczajali oni już świat do tego, że „spodki” latają nad matką Ziemią, a nawet na niej lądują, odbywając z jej mieszkańcami niegroźne w skutkach spotkania, oczywiście dopiero pierwszego stopnia. Ponieważ zatem nie wiadomo, co pewnego dnia każdemu z nas może się zdarzyć, dobrze, że Steven Spielberg do spotkania tego na wszelki wypadek nas przygotował.

Układ Konfrontacji sprawia, że każdy film przerzuca nas w inny świat. Proszę zatem wybaczyć, że porzucając problemy UFO, przeniosłem się od razu w świat dramy Antoniego Czechowa, którą na ekran przysposobił Emil Lotianu, autor przepięknego filmu z poprzednich Konfrontacji pt. „Tabor wędruje do nieba”. Twórczość Antoniego Czechowa kusi kinematografistów stale, lecz nigdy jeszcze nie udało nam się pomyśleć w kinie „to jest to”. Mistrz psychologii i obyczajów opiera się filmowym zakusom w sposób tak samo zastanawiający, co skuteczny i dlatego też ośmielam się skonstatować, że „DRAMAT NA POŁOWANIU” Emilia Lotianu wyrasta ponad przeciętność dotychczasowych adaptacji zarówno dramatów, jak i prozy Czechowa. Udała się moldawskiemu reżyserowi rzecz jedna, wobec której wielu jego poprzedników było bezradnych. Zachował Lotianu cieką Czechowską nutę ironii towarzyszącą wszystkim opowieściom o dusznych sprawach jego rodaków. Być może udało mu się to dlatego, że w intencji samego pisarza opowiadanie to było pastiszem melodramatycznym, kryminalnym, powojennym. Takim też pastiszem jest film Lotianu, który zdołał ożywić na ekranie ducha dekadentckiej chandry i atmosfery nieautentyczności życia rosyjskiej inteligencji i szlachty drugiej połowy XIX wieku.

Publiczność Konfrontacji znużona brakiem mocniejszych wrażeń czekała z utęsknieniem na kolejny ich film — „JESIENNA SONATA” Ingmara Bergmana. W połowie mego seansu sała kinowa opuściło jednak więcej osób, niż w czasie wyświetlania innych filmów — widać nie zadziałała tu ni magia nazwiska znakomitego twórcy, ni kunszt aktorski Ingrid Bergman i Liv Ullmann. No cóż, widać doskonałość sama w sobie nie jest w stanie zachwycać wszystkich. I czegoż my w końcu chcemy? — zysmyśmy się wówczas, gdy nieudolność realizatorska kłuje w oczy, wybrzydząmy, gdy mistrzostwo osiąga szczyty doskonałości. Ale to już tak jest. Gdy idziemy na film Ingmara Bergmana, pracującego z operatorem Svenem Nykvistem, wiemy, z jaką klasą dzieła mieć będziemy do czynienia. Tym bardziej, że twórca mówiący, iż „najpiękniejszym środkiem ekspresji jest twarz aktora”, daje nam też zawsze gwarancję najwyższego poziomu aktorskiego. Intrzyguje zatem już tylko to, co owo mistrzostwo formalnie przyniesie. I, być może, stał się pewien chłód reakcji na najnowszy film szwedzkiego mistrza, który rodziłem ukazanego konfliktu wielu z nas nie zdołał poruszyć. Dramat wyobcowania był tematem innych, doskonałych, jak się wydaje jego dzieł, a ekstremalny freudowski powrocień przypadek, ukazany w tym filmie, wydał mi się bardziej interesujący, gdy patrzyłam nań ze strony matki, a nie córki.

„JAK TO W DOMU”, to jedyny w Konfrontacjach film reżyserowany przez kobietę. Marta Meszaros od kilku już lat intrzyguje światową krytykę, która zresztą szczerze obdarowuje jej filmy licznymi nagrodami. Ziciśliwi twierdzą, że świadomie tematami swych filmów wpisuje się ona w światowy boom kobiecego tematu. Powiedźmy równie złośliwie, że tak twierdzą mężczyźni. Zgotowała im jednak Marta Meszaros ostatnim swym filmem niespodziankę. Czyniąc głównym bohaterem swego filmu mężczyznę, rozbila narosły wokół niej androgyniczny mit. Tym bardziej że w portrecie Andrasa nie z takowych akcentów. Wyznając, że film pani Marty Meszaros podobał mi się i uważam, że jej małżonek, pan Jan Nowicki, zagrał w nim jedną ze swych ciekawych filmowych ról. Przyznaję też, że fabuła tego filmu służyła się na krawędzi dużego niebezpieczeństwa, lecz uduje mu się w tę przepaść nie stoczyć.

Niebezpieczeństwo to dotyczy zarówno tematu węgierskiej emigracji, jak i obyczajowej i psychologicznej strony opowieści o przyjaźni dojrzałego mężczyzny z 10-letnią dziewczynką. Obraz toczącej się w tym filmie walki o duszę mężczyzny między dorosłą i małą kobietą, zawiera wiele znakomitych obserwacji. I choć pośrednio mowa w tym filmie o wiecznej niedojrzałości psychicznej mężczyzny, nie ma w tej konstatacji nic jałowego. Urzeczenie swoistym pięknem ojczyjst ziemi, połączone z kameralnym tematem psychologicznym, jest od lat specyfnością węgierskiego kina, toteż film Marty Meszaros tę tradycję świetnie dopełnia.

Zupełną niespodzianką stał się natomiast grecki film „LENIUCHY Z ŻYZNEJ DOLINY”, debiut reżyserski Nikosa Panayotopoulosa, poczęty, jak wielu z nas to zauważyło, po części z ducha Luisa Bunuela, po części Marka Ferreriego i jego „Wielkiego zarcia”. Na dobrą sprawę nie znamy greckiego filmu, twórczość Michaela Cacoyanisa, twórcy filmowego „Greka Zorby” i mistrzowskich adaptacji dramatów antycznych była dla

# KONFRONTACJE 78

## (CZĘŚĆ II)

nas główną wizytówką tej kinematografii. W wywiadzie udzielonym naszemu tygodnikowi „Ekran” (1979/10) reżyser „Leniuchów” oświadczył: „W filmie tym potępiam tradycję sjęsty i leniuchowania. Ten wątek „Leniuchów” spotkał się z bardzo ostrą krytyką w Grecji. Tak samo, jak problem rozdziału pomiędzy niektórymi warstwami społeczeństwa greckiego — krytycy napadli na mnie nie przebiegając w środkach”. Uwierzyć więc reżyserowi, że zrobił film z akcentami społecznej krytyki. Sądzę jednak, że w kraju, w którym tradycję sjęsty nie ma, a temat leniuchowania jest wielce wstydlawy, mamy prawo uznać ten film po prostu za świetne kino i dobrą zabawę i czekać na dalsze filmy udanego debiutanta, który być może dopełni pejzaż greckiej kinematografii.

Tyle o poszczególnych filmach, pora na pewne podsumowanie wrażeń. Ci, którzy byli łaskawi przebrnąć przez całość mych elukubracji, zauważyli zapewne, że relacja moja pozbawiona była akcentów polemicznych, czy utyskających. Spokojny jej ton był odpowiedzią na wywołane z Konfrontacji wrażeń i nastrojów. Nie sądzę bowiem, że mają rację ci widzowie i koledzy po piórze, którzy okrutnie wybrzydząją na tegoroczny zestaw filmów. Choć dyskusja o gustach, jest bezprzedmiotowa, spróbujmy spojrzeć na Konfrontację 78 bez gniewu, tym bardziej że ich, przynajmniej w intencji, przeciwną będzie TYDZIEŃ KRYTYKI FILMOWEJ, który z racji potratu winien nam przyniesie to, co w światowym kinie najbardziej poznawcze i artystycznie intrzygujące.

Konfrontacje dawno przestały być Festiwalem Festiwalu Filmowego, o czym jak gdyby zapomnieliśmy. Jasne, że oczekiwaliśmy od nich nadal prezentacji dzieł wybitnych, ale jeśli ich w świecie nie tak wiele, jeśli najwięksi w kinie milczeli? Można pytać o „Drzewo na saboty” Olmiego, „Wesele” Aitmana, o „We wnętrzu” Allena. I należy też pytania stawiać, bo w końcu fakt, iż Konfrontacje stały się bardziej imprezą towarzyską, niż intelektualną, nie jest naszą winą. Ale w końcu, dzięki towarzyskiej oświeconości, publiczność nasza, często z satysfakcją, ogląda filmy, na które w trakcie normalnej filmowej dystrybucji nigdy by się nie wybrała (vide „Wyznanie miłości”, „Cienie gorącego lata”, „Jak to w domu”, jako że miejsca ich powstania nie skłaniają szerokiej widowni do wizyt w kinie). Pokazano nam też kilka naprawdę nagrodzonych na festiwalach filmów, jeśli rozczarować, to mniejszy też pretensję do tych, którzy nagracują. Były dwa filmy renomowanych mistrzów kina („Panny z Wilka” i „Jesienna sonata”) i jeden ciekawy, nagrodzony przy tym debiut. Dwa filmy („Niezamężna kobieta” i „Bliskie spotkania”) były reprezentacją najwyraźniej rysujących się dziś nurtów tematycznych światowego kina. Nie było zatem chyba tak źle. Stwarza przy tym ta impreza możliwość nie tylko konfrontacji poszczególnych kinematografii i ich filmów, ale także konfrontacji trendów i opinii krytyki z naszymi sądami i gustami.

Pokazane filmy reprezentowały dobry poziom artystyczny, choć zachwyciły, pewnie też nie wszystkich, tylko „Panny z Wilka”. Ktoś inny dopisze tu może także „Jesienną sonatę”, ktoś inny „Niezamężną kobietę” i „Imperium namienności”. Dyskutować o tym doprawdy trudno.

Warto zatem chwilę refleksji poświęcić sprawom, które wyniknęły z całości repertuaru. Zwracało w nim uwagę przede wszystkim to, że filmy te w zasadzie odwróciły się od dominujących w latach poprzednich tematów politycznych i społecznych. Jeśli pojawiały się one w tym roku, to widzieliśmy głównie poprzez wymiar losu jednostkowego i opowiedziane w tonie wielce kameralnym. Owa kameralność i wyciszenie były jedną z uderzających cech filmów tegorocznych Konfrontacji. To było też zapewne przyczyną zniechęcenia jednych, i satysfakcji innych widzów.

Inną cechą wspólną dla wielu filmów było, poza programową dla sprawy „Niezamężną kobietą” („Wolna kobieta” — raczej), że ich twórcy skupili uwagę na postaciach kobiet, nawet wówczas, gdy nie one były głównymi bohaterkami utworów. Od Ingrid Bergman kreującej postać niemłodej już matki, po małą Zuzusi z filmu Marty Meszaros — przekrój kobiecych osobowości otrzymaliśmy szeroki, różna też była skala spraw, o których mówiono. Pokazano kobiece światy wewnętrzne, ich wybory i kleski, ich miejsce w życiu mężczyzn, pokazano je jako ozdobę i siłę życia. Ciekawi uderzająca zbieżność tych spraw w filmach tak różnych. I jeszcze jedna cecha wspólna — odkrycie natury. Przyroda była w każdym z tych filmów jednym z głównych bohaterów. Współczesna sztuka operatorska odkrywając, a także kreując jej piękno, czyniła to nie ku ozdobie fabuły; każdy ludzki los był z przyrodą sprzężony.

Ostatnie narzucające się spostrzeżenie, to konieczność wyrażenia żalu, że krótki film towarzyszył tylko kilku seansom. Konfrontacje są bowiem także rzadką okazją pokazania tego, co dzieje się w krótkim metrażu, a wiemy, że nie dzieje się źle.

EWA NURCZYŃSKA

Już po raz czwarty przyznano Nagrodę im. Zenona Wasilewskiego fundowaną przez Urząd Miasta Łodzi co dwa lata dla najlepszego filmu o tematyce dziecięcej. W 1979 roku do konkursu zgłoszono 19 tytułów z 4 studiów filmów animowanych w kraju, zrealizowanych w różnych technikach.

Tym razem Nagrodę rozdzieliło między dwóch twórców: WITOLDA GIERZĄ — za film pełnometrażowy „Proszę słońca” i JERZEGO KOTOWSKIEGO za film „Joasia i smok Tomasz” (zrealizowany w Łódzku i „Studio Małych Form Filmowych”).

Złoty medal zdobył film reżysera JOZEFY ARKUSZA (z Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych) pt. „Życie i odżywianie — czynności jeł” — na międzynarodowym przeglądzie filmów specjalistycznych i naukowych „Educa-Fest” w Pristinie, w Jugosławii. Jest to kolejne wyróżnienie tego filmu (poprzednio m. in. na festiwalach w Wenecji, Belgradzie i Katowicach). Reżyser zastosował tu unikalną metodę wykonywania zdjęć we wnętrzu żywego organizmu.

Na terenach Łódzkich Zakładów Kinotechnicznych „PREXER” przy ul. Nowotki powstaje nietypowa inwestycja: pierwszy w kraju OSRODEK KULTURY KINOTECHNICZNEJ, na który złożą się: sala projekcyjno-widowiskowa na 400 miejsc, służąca pokazom wzorowego odtwarzania obrazu i dźwięku filmowego w oparciu o najnowocześniejszy, produkowany u nas sprzęt oraz — także jedyny w kraju — Muzeum Historii Kinotechniki.

Dyrekcja „Prexeru” zapowiada otwarcie Ośrodka na lipiec br.

Młody łódzki wokalista — bas KAZIMIERZ KOWALSKI zaproszony został do udziału w tegorocznych Dniach Kultury Polskiej w ZSRR, które odbędą się będą przez dwa tygodnie od 3 kwietnia. K. Kowalski wystąpi w koncercie galowym w Pa-

skiej”, wystawa będąca plonem konkursu, w którym uczestniczyło 800 prac 300 autorów z całej Japonii (głównie artystów młodej generacji). Łódzka publiczność ma możliwość obejrzenia tej wystawy jeszcze przed jej prezentacją w Japonii. W Centralnym Muzeum Włókiennictwa wystawa „Arpilleras Chilijskie i Molasy Panamskie” prezentująca artystyczne tkaniny — wyszywane zwane „molasy” z Ameryki Południowej. Współorganizatorem wystawy jest Polski Komitet Solidarności z Narodem Chilijskim.

Ośrodek Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza zaprasza z kolei na dużą, retrospektywną wystawę malarstwa ZBIGNIEWA MAKOWSKIEGO — jednego z najwybitniejszych polskich malarzy współczesnych. Ekspozycja zainicjowała — dzięki staraniom łódzkiego BWA — tradycję wielkich, retrospektywnych wystaw polskich twórców współczesnych.

Inne, drobniejsze wystawy: — w Klubie MPiK medale JERZEGO JARNUSZKIEWICZA, w „Dywanie” — kolekcja kobierców i tkanin wschodnich rodziny Kulczyckich z Zakopanego (przeniesiona z Muzeum Historii Włókiennictwa). Dwa łódzkie plastycy prezentują swoje prace w stołecznej JACEK BIGOSZEWSKI — malarstwo — w „Galerii 102” na Grójeckiej; WŁODZIMIERZ MAŁEK — „Balet w fotografii” — w MPiK „Nowy Świat”.

Natomiast 30 marca w Klubie ZPAP w Łodzi pokaz slajdowy pn. „Forum światła” poprowadził uczestnik sympozjum poświęconego roli światła w architekturze (w Holandii) — ZBIGNIEW WILMA.

Łódzcy plastycy zagospodarują część ekspozycji zatytułowanej „Dziecko w mieście”, która — z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka odbędzie się w II połowie kwietnia w Mediolanie i Turynie, jako impreza towarzysząca kongresowi merów wielkich miast. Opracowanie szaty

## KRONIKA KULTURALNA

lacu Zjazdów oraz w recitalach w Moskwie i Leningradzie, w których towarzyszyć mu będzie na fortepianie młody łódzki pianista — Bogusław PIKAŁA.

Sukcesy łódzkiej młodzieży muzycznej: II nagrodę w IX Ogólnopolskim Konkursie Zespołów Kameralnych średnich szkół muzycznych, odbywającym się we Wrocławiu, zdobył Kwintet Akordeonowy pod kierunkiem Bogdana Dowłaza z PSM II stopnia im. Moniuszki w Łodzi. Natomiast wyróżnienie uzyskało Trio gitarowe z klasy kameralnej Al. Kowalczyka.

A w Siedlcach — podczas VI Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki i Tańca „Barwy Przyjaźni”, w którym wzięło udział 30 zespołów dziecięcych — I miejsce zajął dziecięcy zespół tańca ludowego „HARNAM”. Weźmie on udział w koncercie finałowym Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze — obok grupy wokalne Młodzieżowego Domu Kultury „Wesołe Nutki” z Ozorkowa.

Z Filharmonii Łódzkiej: „Wspaniali goście z Lipska” — takim tytułem opatrzył swoją recenzję „Głos Robotniczy” z odbywającego się w ramach Dni Muzyki NRD koncertu dwóch zespołów muzycznych: „THOMASNERCHORA” i ORKIESTRY KAMERALNEJ „GEWANDHAUS”. FL kontynuuje również tradycję koncertów z udziałem muzyków orkiestrowych jako solistów, zapoczątkowaną w ub. roku. Ostatnio koncertowało 6 młodych muzyków... W dniach: 30 — 31 marca orkiestrę FL prowadził Henryk CZYŻ, prezentując program, z którym zespół ten wystąpi na Festiwalu Polskiej Muzyki Współczesnej w Poznaniu.

Początek wiosny synały również kilkoma atrakcyjnymi wystawami plastycznymi... W Muzeum Sztuki — „Aktualne tendencje sztuki japońskiej”.

graficznej łódzkiej ekspozycji poświęcono PWSSP.

Trzydniowy program imprez przygotowany z okazji przekazania po remoncie odrestaurowanego łódzkiego Klubu Nauczyciela. W inauguracji działalności placówki wzięli udział przedstawiciele władz miasta, a publiczność obejrzała m. in. wystawy: grafiki Andrzeja BARTCZAKA, „Dziecko w malarstwie” — wystawę członków Nauczycielskiego Klubu Plastyków, premiery: „Lisa” Mroźka w wykonaniu Teatru Klubu Nauczyciela „Prom”, kierowanego przez M. Glinkowskiego i nowy spektakl Estrady Poezji i Piosenki, prowadzonej przez M. Daleckiego. Odbyło się również pierwsze spotkanie z cyklu „Trzy pokolenia nauczycieli matematyki” oraz sesja literacka poświęcona współczesnej literaturze.

Blisko 840 cennych druków i rękopisów, będących niegdyś własnością IGNACEGO KRASICKIEGO, a przekazanych w 1801 roku Kolegacjom w Łowiczu w zastawienie udośćpnionych publiczności i badaczom w tworzone obecnie w XVI-wiecznej Kolegacie muzeum.

DZIAŁ ZBIORÓW KSIĄZEK „MÓWIONYCH” z przeznaczeniem dla niewidomych utworzono przy Bibliotece Miejskiej w Zdunskiej Woli. Zgromadzone dotychczas ponad 200 pozycji z literatury światowej i polskiej, nagrane na taśmach magnetofonowych.

Z kultury studenckiej: „Praca organizacji studenckiej w środowisku młodych twórców kultury” — oto temat VII Plenum ZŁ SZSP, które odbyło się 22 marca br... Z Jugosławii powrócił Studencki Teatr „Pstrąg”, który z powodzeniem występował na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich w Belgradzie.

## „ODGŁOSY” —

Redakcja „Odgłosów” zaprasza Czytelników w dniu 6 kwietnia (piątek), o godzinie 18, do Domu Środowisk Twórczych (Łódź, al. Kościuszki 33) na spotkanie dyskusyjne dotyczące kształtu i zawartości pisma oraz planów redakcyjnych.

Droży Czytelnicy — liczymy na Wasz współudział w tworzeniu pisma, przysyłając nam swoje uwagi. Pozwól nam one lepiej, zgodnie z Waszymi oczekiwaniem, redagować „Odgłosy”.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

## — CZYTELNICY

## odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDICH, EUGENIJSZ JERZY RYŹMOWSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: JAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLĄŻEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ JAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANAS-SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI.



Zaczęło się od tego, że Pałka ściała dziką gruszę, która rosła na miedzy rozdzielającej jego pole od zagonów Materki. A ponieważ stało się to jesienią, Matka oskarżyła go o kradzież owoców i drewna. Sąd był zdania, że drzewko wyszło samo i każdy z sąsiadów mógł korzystać ze spadających na oba pola owoców, nikt natomiast nie miał prawa mienić się właścicielem drzewa.

Matka przeto samą rosnącą dochodzić sprawiedliwości i w nocy przyorał miedzę aż po pień gruszy, a że nad ranem spadł śnieg, Pałka dopiero wiosną odkrył ślady przestępstwa; kiedy wjechał kołami równo w bruzdy po stronie Materki, spostrzegł, że po drugiej stronie koła wozu jadą po jego polu w odległości pół metra od miedzy. Wrócił na podwórze i zaczął krzyknąć, że nie pozwoli przyorywać się takiemu łachmycie jak Matka, do sądu nie pójdzie, ale tak zasa Materkę życie. Że ten długo nie pociągnie. Na to Matka odparła, że swego podwórze, że jak jego ojciec najadł się gruszek, to zawsze wypróżniał się na miedzy i dzięki temu wyrósł drzewo, którego Pałka nie miał prawa ścinać, ale skoro się tak wrednie porządził, to on, Matka, musiał sobie odebrać stratę w ziemi.

Pałka był rozsądniejszy, miał już dwie dorosłe córki, toteż nie zamierzał wdawać się w bijatyki z młodszym o dwadzieścia lat sąsiadem. Rozebrał postawiony przez siebie płot rozgradzający oba podwórza i rozpoczął wojnę podjazdową na kury, psy, koty i świnię. To znaczy chował się na przykład za ścianą i tylko czekał, żeby kury Materki weszły na jego podwórze. Wtedy spuszczał psa i walił kamieniami, aż pierze fruwało! W odwet Matka zaczynała się na Pałkowego kota, chwytając go i rzucając na sąsiedzi dach, przepędzając tym sposobem raz na zawsze Pałkowe gołębie. A kiedy mu się to znudziło, po bił starszą córkę Pałki za to, że wylała pomyje na jego podwórze, stanął na granicy z widłami i wymierzył je w brzech Pałki, który ruszył dziewczynnie na pomoc. Pałka wycofał się, pobiegł do sądu i Matka została skazana za pobite, za groźbę zabicia i za zakłócenie posiadania, czyli przyznanie miedzy.

Matka uspokoił się trochę, gdyż zabrakło mu sił, od młodości bowiem był chorowity i coraz bardziej zapadał na zdrowiu. Ale był również skryty, porwisty i mściwy. Oświadczył, że teraz Pałka ma przewagę, ale kiedy dorosną jego dzieci, to wtedy dopiero okaże się, kto jest lepszy. No i u Materki posypały się dzieckiem jak z rękawa, co rok prok, w sumie pięcioro, a w chwili gdy spory nasiliły się ponownie, tzn. od roku 1976, najstarsza córka liczyła 12 lat.

Niektórzy twierdzą, iż wybuch awantury należy przypisywać sprowadzeniu się do wsi kuzynów Materki, niejakich Wierzbickich, którzy podpuszczali Materkę do zbrojnych wystąpień, ale chyba nie odpowiadało to prawdzie. Faktem jest natomiast, że Pałka mógł być pozbawiony prawowitego następcy na 5-hektarowym gospodarstwie i w przyszłości jego ziemię na zasadzie pierwokupu mogły zagarnąć dzieci Materki.

Otóż młodsza córka Pałki, chemiczka ze średnim wykształceniem, dociągnęła do lat 35 jako panienka, prowadząc poza domem i miejscem pracy tajne życie artystyczne. Druga natomiast, tzw. gospodyni domowa, wyszła za mąż za obywatela Jana O., który spodził z nią syna Kazika i po czterech latach wyprowadził się, ponieważ żona nie odpowiadała mu intelektualnie i pod względem fizycznym, a przede wszystkim dlatego, że wstydził się syna, który okazał się niedorozwinięty umysłowo. Owszem, płacił regularnie 1.500 zł alimentów, ale dziecka nigdy nie odwiedzał, bo po co, skoro miało matkę, dziadków i ciotkę.

Tymczasem u Materki nastąpiła bieda. Żona, aby w jakimś stopniu zabezpieczyć rosnące potrzeby materialne, zatrudniła się za niewysoką pensję jako sprzątaczkę w fabryce. Materce coraz bardziej dokuczalo serce, toteż większość prac w gospodarstwie przeszła

zajmował się również prokurator wojewódzki?

Wersje podawane przez obie strony są tak sprzeczne, że trudno się zdecydować, komu wierzyć. Ale jedno wydarzenie jest nieco jasniejsze, ponieważ miało miejsce w obecności świadków. Otóż 15 lipca starsza córka Pałki oddała syna pod opiekę dwóm dziewczynkom, uczennicom siódmej klasy, a sama zajęła się pracą w polu. Chłopiec siedział spokojnie pod drzewem i wtedy przybiegli dzieci Materki i zaczęli go bić, najokrutniejszym zaś okazał się 8-letni Bolek, który bił Kazika po głowie grubym kijem. Podpity Matka wyglądał przez okno, śmiejąc się szyderczo. Kiedy babka Kazika wyszła na drogę i oświadczyła, że Matka powinien się wstydzić, bo uczy dzieci nienawisści już od kołyski, ten nazwał ją głupią starą kurwą, po czym oznajmił cynicznie, że tego pomyliła i tak kiedyś zatłucze, bo takie coś nie ma prawa szwendać się po świecie.

Matka była mściwa, zgorzkniała, nie potrafił wykonać żadnej pracy w gospodarstwie, czuł się niepotrzebny i z rozpaczą zaczął popijać, a że sam nie mógł już zaskodzić sąsiadom, wyręczał się dziećmi.

I tak jego syn Bolek zwał Kazika za stodołę i tułki so młotkiem, gdzie się dało. Matka twierdzi, że po jednym z uderzeń chłopcu zaczęła rosnąć łopata, musi go codziennie kapać i nacierać odbite młot-

spokojnie, żeby sobie dogoniła jego Boleka i wiała mu, jeśli zasłużył. Ale Bolek był już wtedy daleko w lesie.

Dziadek Pałki twierdzi, że motocyklista zaprzeczył, jakoby chłopiec miał być pchnięty pod pojazd, ponieważ obawia się sztyku ze strony Materki.

Coś w tym musi być, coś znanego dla społeczności wiejskiej, która chętnie uczestniczy we wszystkich niezwykłych wydarzeniach, ale zazwyczaj z boku, z kąpiącym uśmiechem i ziośliwym komentarzem, kiedy zaś przyjdzie świadczyć, co się widziało, chłop odczuwający wrodzoną niechęć i wrogość do urzędów, szybko się wycofuje. Nie należy się przeto dziwić, iż nawet po znanym powszechnie zdarzeniu z dnia 15 lipca nikt nie chciał świadczyć przeciwko Matce, a wylądowała zeznanie złożyła tylko jedna dziewczynka; druga zapadła, że jak przyszedł do nich milicjant, ojciec akurat ubierał się do kościoła i kazał jej uciekać z domu i nie mówić. Inne dzieci, a było ich około dziesięć, wręcz zaprzeczyły, że widziały zjawisko.

Alle podcazas długotrwałych sporów i wrażliwych sąsiadów opinia wsi nigdy nie kształtowała się jednoznacznie, tzn. że zawsze znajdą się ludzie, którzy zwrócą uwagę, iż nie należy potępiać tylko jednej strony. Zwrócić np. uwagę, że owszem dzieci Materków łamały palecie drzew i biły małego Kazika, ale równocześnie wskazały na

wypadku „ze szprychą” Matka zbijał płot, więc spytała go, czemu Bolek kłuje szprycha jej Kazia, a Matka złapał za deskę, pogonił ją i wrzeszczał, żeby pobiegła na milicję i do prokuratora.

Pewnie, że pobiegła, a co, miała to wszystko znosić pokornie jak niewolnica, jaka? Miała wysłuchiwać, jak dzieci Materków wykrzykują na nią różne wredne „slogany”, w rodzaju: „Krowa jałowa i baba szczerbata, co ma wariata!”, „Papierosy, wódka i rozwódka!”, „Dupe na świat wypręta, a zgubiła męża!”, „Dla głupie-

jest złe, bo jak Materkowa idzie do pracy, to dziećmi zajmuje się najstarsza córka; jest płot, nikt nie wchodzi do Pałków na podwórze, a dzieci biegają sobie po drodze.

10 listopada zmarł na atak serca 40-letni Matka. W dwa tygodnie później Pałkowie zaciągnęli do sądu Materkową, żeby jej odebrać prawa rodzicielskie nad dziećmi. Stary Pałka nie stawiał się, ponieważ został uderzony przy cięciu drzewa, co ludzie uznali za karę boską.

Matka Kazia oświadczyła, że dopóki Matka żył, napuszczał dzieci na Kazia, ale teraz nie

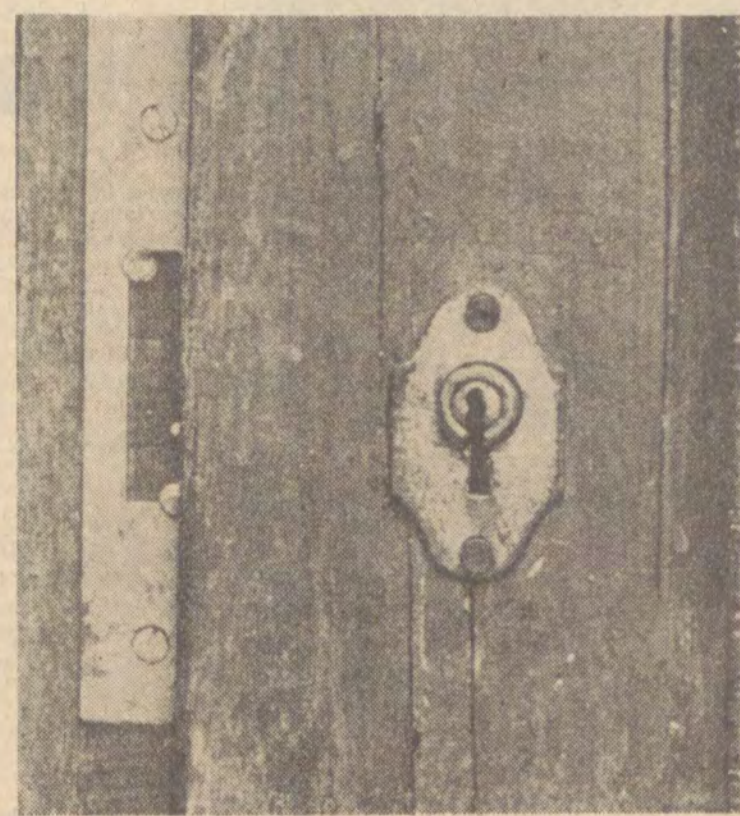


Foto: A. Bohdziewicz

RYSZARD BINKOWSKI

# NIEZGODA

na dzieci. Wywiad środowiskowy wykazał, że dzięki pomocy dzieci wyjątkowo gospodarstwa nie spada poniżej średniej w gminie. Charakterystyczne, że dzieci Materków w szkole uzyskiwały promocje do następnych klas, nie było z nimi specjalnych kłopotów wychowawczych, chodzili jako tako ubrani i nie byli głodni, co potwierdziły opinie wydane przez wychowawców. Charakterystyczne było również to, że postępek MO nie miał zastrzeżeń co do zachowania i sposobu bycia Materki, a mieszkańcy wsi poświadczali 25 podpisami, iż Materkowie nie wszczynają żadnych sporów z sąsiadami.

Na jakiej więc podstawie lekarze wydawali obdukcje starej Pałkowej i jej rozwiedzionej córce, pobitych przez Matkę? Dlaczego wydano obdukcje pobitemu przez dzieci Materki pięcioletniemu Kazikowi, przy czym tą sprawą

kierując miejsce. Jak chłopiec chce przejść przez drogę do sąsiadów, to mały od Materki popychają go i oburzają kamieniami. Raz Bolek wepchnął go z rowerem do stawu, innym razem, gdy Kazik poszedł do ogrodułka po sałatę, wyrwał mu z ręki warzyw, poedeł w błocie, zdjął małemu trepię i wrzucił do studni. A jeszcze kiedy idździe zaatakował go szprychą, dziabiąc najpierw w nos, a potem w oko, ale nie trafił i tylko rozdrapał mu policzek.

Najtragiczniejsze w skutkach mogło się okazać zdarzenie, gdy Bolek popchnął Kazika pod pedał motocykla. Na ostrzegawczy krzyk matki dzieciak zatrzymał się i upadł pół metra przed kołem. Matka wdziała to z okna, nie ośmielała jednak spytać szyderczo, co znowu jego Bolek nabroił. A gdy zdenerwowana kobieta rzuciła mu w twarz, że to jego sprawa, oznajmił

fakt, że kiedy Materkowa szła z najmniejszym dzieckiem, stojącym w pobliżu Kazia natchmian wrzeszczał jak nakręcony: „Bijaj mnie, bijaj! Nie bij, Lusiu, bo mnie zabijesz!”, co nasuwało przypuszczenie, iż chłopiec jest tego nauczony.

I dlatego by nie dać wiary Materkowej, która twierdziła, że zakazywała swoim dzieciom nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z Pałkami, i że nikt nie zwabił Kazia do podwórka, po prostu sam przychodził, jak to dziecko, takie niemądre, uposledzone, że go nawet było, ale trzeba było czasem przepędzić, bo mógł podpalić stodołę. A jak chodził o pobicia, to Kazio wlaży na płot, spadł i strasznie wrzeszczał.

Alle matka chłopca natchmian spieszył z kontrargumentem, iż jest to bzdura i wierutne kłamstwo, bo w tym czasie płotu już nie było. I zaraz sobie przypomina, że po

go lalusia kupuj szybko tatuaż.

Alle jeszcze bardziej obrażliwe słowa, nie nadające się do druku, znajdowała w listach, rozlepianych wieczorową porą na ścianach i furcie. Tego nie wolno było darować i do akcji przystąpiła starsza córka Pałki, najbardziej elokwentna i oblatana w procedurze. To ona bez przerwy nachodziła sąd, twierdząc, że kurator zawodowy jest lipny, sąd jest w zmożeniu z prokuratorem, prokurator przekupiony, a protokół sfałszowany i pozbawiony zaświadczających lekarzy.

Zawalony monitami, skargami i odwołaniami sąd na moment stracił głowę i przyjął pozew Pałków o ograniczenie Matce praw rodzicielskich. Natychmiast jednak sprostował wszystko, bo o pozbawienie praw mogą występować jedynie bezpośrednio zainteresowani. A poza tym świadkowie i Materkowa wyjaśnili, że nie

się nie zmieniło, bo chociaż chłopiec jest w przedszkolu w mieście, to kiedy przyjeżdża na niedzielę, trzeba pilnować, żeby mu nie zrobiono krzywdy. Sąd wszystko rozpatrzył i w pierwszym rzędzie wykluczył ze sprawy Matkę, natomiast sprawę o ograniczenie władzy rodzicielskiej dla Materkowej umorzył.

Alle teraz naprawdę czworo dzieci pozostało bez opieki, a gospodarstwo całkowicie podupadło. Życzliwi sąsiedzi milczeli, nie chcąc zaskodzić żadnej ze stron, teraz zaś patrzyli na dom Materków z litością i współczuciem, lecz komu to pomoże, co zmienić? Gdzie byli przedstawiciele organów ścigania, kurator społeczny, nauczyciele i odpowiedzialni urzędnicy, co niezbyt wielkimi oceniali sytuację, doprowadzili do smutnego finału historii, w której zwaśniali dorośli wciągnęli do osobistych rozgrywek dzieci?

Dalszy ciąg ze str. 1

Jagodziński, Januariusz Dudek, Bolesław Sobusiak, Zbigniew Jankowski, Edward Mikolajczyk, Ryszard Nowak, Stanisław Stasinowski i Andrzej Wasiak.

W ciągu dnia dzieci uczestniczą w zajęciach ruchowych i świetlicowych. Do podstawowych zajęć należy pisanie wypracowań tematycznie związanych z ich domem rodzinnym, z ich marzeniami i planami. Służą one później wychowawcom dla lepszego poznania przyczyn, dla których dziecko znalazło się w Izbie. Zresztą na podstawie tych wynurzeń powstają prace magisterskie i dyplomowe, bowiem milicyjna Izba Dziecka od lat współpracuje z Uniwersytetem Łódzkim i Medycznym Studium Zawodowym (studenci odbywają tu swoje praktyki). M. in. powstały tu prace: „Przyczyny przebiegania nieletnich w Izbie Dziecka MO”, „Środowisko rodzinne a zachowanie nieletnich – podopiecznych Izby Dziecka MO w Łodzi”, „Zainteresowania kulturalne młodzieży trudnej, ze szczególnym uwzględnieniem czytelnictwa”, „Ucieczki z domów rodzicielskich nieletnich i młodzieży w dokumentacji Izby Dziecka, a mechanizm funkcjonowania organizacji”, „Psychologiczno-pedagogiczna analiza przyczyn ucieczek z domów rodzicielskich na przykładzie milicyjnej Izby Dziecka w Łodzi”. W trakcie opracowywania jest także pierwsza monografia Haliny Kupińskiej p.t. „Działalność milicyjnej Izby Dziecka w Łodzi”, która będzie compendium wiedzy o tej zastrzeżonej dla miasta placówce opiekuńczo-wychowawczej.

Wypracowania pisane przez dzieci stanowią swoiste akty oskarżenia. Oto przykłady (z zachowaniem oryginalnej pisowni).

ALFREDA, lat 15. „W moim domu niepodobało mi się odnoszenie się rodziców w grubiański sposób i znieważanie mojej osoby przez ojczyma. Niepodobało mi się picie wódki i bluźnienie na mnie i mamę. Z domu uciekałam dlatego, że mając 15 lat musiałam z ojczymem pić, palić i utrzymywać stosunki. Od tej chwili ojczyma coraz bardziej zaczęłam nienawidzić ale on odwrotnie coraz więcej pragnął być ze mną. Ojczym niepozwalał mi nigdzie wychodzić a mama odwrotnie. Kiedy wracałam później ojczym bił mnie i ubliżał. Co dzień ojczym robił się coraz bardziej zazdrosny a u mnie z dnia na dzień coraz więcej nienawiści. Ojczym oświadczył że mnie kocha a ja muszę być wyłącznie dla niego. Mama moja stopniowo zaczęła odsuwać się ode mnie domyślając się rzeczy sedna a ja nie mogłam spojrzeć jej w oczy, wyrządzając jej tak wielką krzywdę. A ponieważ ojczyma nienawidziłam postanowiłam uciec z domu i więcej do niego nie wracać”.

JANEK, lat 13. „Ja chcę żeby się zmienił mój ojczym, żeby nie pił, nie robił awantur, żeby żył w zgodzie. Żeby chodził ze mną do kina, żeby się poprawił, żeby kupił radio, telewizor, żeby chodził ze mną do parku, żeby ze mną rozmawiał. Żeby nie chodził samotny i smutny, żeby naprawdę poprawił. Żeby nie pił z kolegami wódki, żeby rozmawiał ze mną, żeby kupił telewizor, żeby naprawdę był człowiekiem a nie łajzą i pijakiem, żeby już tego nie było, żeby nie było nieporozumień wobec rodziców”.

EWA, lat 17. „Mam trochę żalu do matki, że wtedy nie pomogła mi tak jak chciałam. Za każde przewinienie biła ona strasznie, łatwo się denerwuje i często chodziłam z podbitymi oczyma. Nigdy nie wierzyla, choć czasami mówiłam prawdę. Wte-

dy miałam uzasadnione pretensje, że mi nie wierzy. Rzadko kiedy żyjemy w zgodzie. Ona krzyczała „prostitutka”, „wołka”, „kurwa” i biła, ja płakałam kiedy mnie przeklinała, bo przecież nie miała podstaw. Zaczęłam się częścieli widywać z Romkiem, rozrabiać, późno przychodzić. Ona mnie biła co wieczór, a ja na następny dzień robiłam to samo. To chyba nie moralne, że załpionowałam mi to, że Anna jest prostytutką. Właściwie to mam dwie twarze tzn. mogę kochać, przeklinać, a wystarczy żeby ktoś mnie pogłaskał i już lecę”.

HALINA, lat 15. „Z domu uciekałam dlatego, że w domu są częste kłótnie i bicie. Od samej małości, jak tylko pamiętam, matka z ojcem jak tylko dostanę pieniądze, to w pierwszej kolejności jest wódka, dom ich nie interesuje, ani dzieci, że się nie uczą. Rodzeństwa mam pięcioro. Starszego brata, który ma 21 lat i niedawno wyszedł z więzienia, drugiego brata lat 19 i siedzi w więzieniu, siostrę lat 14, chodzi do szkoły do V klasy ale jej w domu nie ma, bo przebywa obecnie w preventorium i mam jeszcze brata, który chodzi do V klasy”.

EWA, lat 15. „Gdy przychodziłam do domu nierz do mamy to mamy kochanek mnie wyzywał i szarpał po pijanemu. Gdy mama wyszła drugi raz za męża nie miałam zapewnionej opieki ze strony matki. Mąż jej bił mnie i nawet gonął nożem w kółko stołu”.

MAGDA, lat 14. „Czuje się bardzo dziwnie, bo nie spałam już 7 nocy. Nocy te spędziłam na stacji na siedząco. Okropnie zmarniałam, zostały mi tylko kości na policzkach, oczy i nos. Możliwe sobie wyobrazić dlatego: bo przez 7 dni nie jadłam gotowanego, nierz tylko kupiłam

sobie herbaty i suchą bułkę. Chodzę jak pijana. Mówię prawdę. Ja chyba mam najgorszy los. Nigdy w życiu nie znalazłam pieśczęty rodzicielskiej. Ja do nich to jakoś nie czuję, nie mnie do nich nie ciągnie mogłabym żyć bez nich, bo oni mnie nigdy nie kochali jak dziecko. Mama moja nigdy mi nie serdecznego nie powiedziała, nie pocałowała mnie, ojciec to samo. Nigdy od niego nie usłyszałam pieśczętliwego słowa. Ciagle tylko kłnie i denerwuje się, a ja nie mogę już dłużej znieść atmosfery naszego domu”.

Pomiędzy wychowawcami Izby Dziecka a podopiecznymi często nawiązują się przyjaźnie, trwałe związki uczuciowe. Byli wychowankowie piszą listy, odpowiadają pałacyk na ulicy Skrzywana choć od dawna u samodzielnili się, założyli własne rodziny, wychowują swoje dzieci. Pamiętają o pomocy, jaką tu otrzymali, o swoim pierwszym spokojnym śnie nie zakłócanym biciem i wyzywkami. Oto jeden z przykładów: zgłosiła się do milicyjnej Izby Dziecka dziewczynka z prośbą o pomoc. Okazało się, że jej matka jest chora psychicznie, ojca wielokrotnie karano za znęcanie się nad rodziną. Dziewczynka chciała być pielęgniarzką. Wystąpiła więc z wnioskiem do Liceum Pielęgniarskiego o jej przyjęcie, załatwiono internet, kupiono potrzebny fartuch, buty itp., a także wystąpiono z wnioskiem do referatu Opieki Społecznej o zapomogę. Dziewczynka dobrze się uczyła, zdobyła dyplom, pracuje w szpitalu. W trakcie nauki odwiedziła Izbę Dziecka, zaprzyjaźniła się z wychowawcami. Dziś także przychodzi, pisze listy. Jak wielu.

EUGENIUSZ IWANICKI

ODGŁOSY 3

JEDENASTKA  
ZE SKRZY-  
WANĄ



Zenon Sieradzki, drobny i szczupły, wita się z nami siedząc przy stole. Nie wstaje na powitanie, od kilku miesięcy jest sparaliżowany. Nie włada lewą ręką. Z trudem utrzymuje papieros w prawej. Dla rzeźbiarza — straszne kalectwo. Ale Zenon Sieradzki, mimo tego, nadal maluje i rzeźbi...

— Kiedy urodziła się wnuczka, postanowiłem ofiarować jej rzeźbę — mówi. — Nie chciałem dawać starej, dawno zrobionej. Wyrzeźbiłem nową. Powiedziałem sobie tak: zrobię choćbym miał leżeć na brzuchu! I zrobiłem. Jestem człowiekiem upartym. Zawsze taki byłem! Sieradzki zaczął rysować i malować przed

człowieka lub zwierzęcia, i na tej rzeźbie niech pan się wzoruje! Wysłuchałem pani Grodzkiej, ale... ale pomyślałem sobie, że ja starałem się rzeźbić jak umiem najlepiej, a ona mi każe „ześć do piwnicy”, robić prymitywnie, bez polotu.

Gdy jego prace wystawiano w muzeum łęczyckim przychodził na ekspozycję jako ostatni. Kreślił się wśród zwiedzających i wysłuchiwał ich opinii. Ludziom podobały się jego rzeźby.

— Wiem, że pani Grodzka chciała mi pomóc, ale ja zwykłem chodzić własnymi drogami.

W okolicach Łęczycy nigdy nie brakowało rzeźbiarzy, malarzy i gawędziarzy. Artysty w swojej twórczości odtwarzali wiele podań i legend, zrodzonych na tej ziemi. Jednak najczęściej pojawiającym się motywem był i jest diabeł Boruta. Borutę najchętniej rzeźbił Aleksander Kamiński. Barwna postać łęczyckiego diabła pojawia się często także w twórczości Zenona Sieradzkiego. Z niewielu rzeźb i akwarel pozostałych w jego zgierskim mieszkaniu, najbardziej podobają się nam właśnie dwa obrazy z Borutą. Jeden, olejny, z łęczyckim tłem na pierwszym planie, i drugi — przedstawiający diabła goniącego pijanego chłopca. I tu także w tle odnaleźć można zarysy łęczyckiej kolegiaty i dwóch, tak charakterystycznych dla tutejszego krajobrazu, jeziorek.

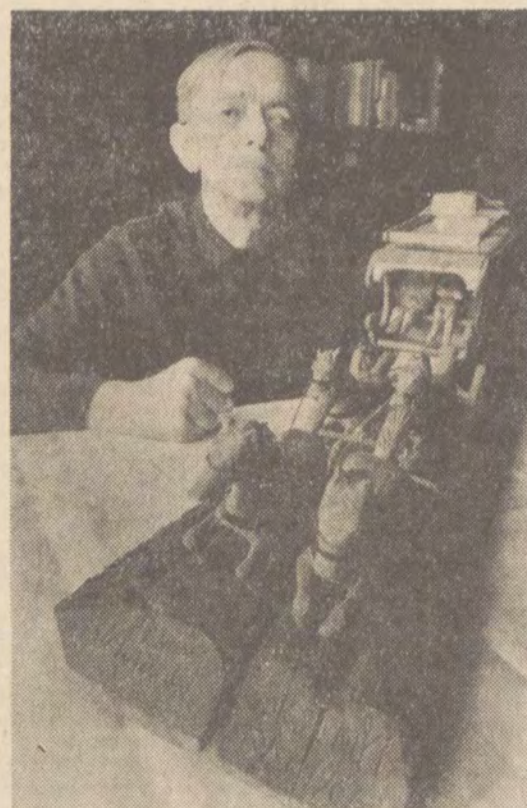
Zenon Sieradzki przez trzydzieści pięć lat namalował i wyrzeźbił wiele scenek przedstawiających tego malowniczego diabła. Niektóre z nich znajdują się teraz w muzeach sztuki ludowej w Łodzi, Łęczycy, Toruniu, Warszawie. Jego prace odnaleźć można także w prywatnych zbiorach kolekcjonerów.

Ale jedna z nich, zatytułowana „Wypędzenie z raju”, wciąż jeszcze znajduje się w mieszkaniu artysty. Może dlatego, że Sieradzki bardzo ją lubi?.. Adam i Ewa, z fruwiącym nad nimi groźnym aniołem, są wyrzeźbieni z jednego lipowego kłosa. W tę rzeźbę włożył dużo pracy. Po którejś kolejnej wystawie wrócił do niej i ją w opłakanym stanie: anioł miał utracony miecz, zaginął także wąż kuszący Ewę. I tak już pozostało.

Wśród zatrzymanych w domu prac jest także dobrze znana postać naczelnika Kościuszki Sieradzki uważa, że ta rzeźba wyraźnie mu się nie udała. Dlatego trzyma ją w domu... i pewnie by nam jej nie pokazał, gdyby nie interwencja córki. Jest krytyczny w stosunku do swoich dzieł. Nieliczne uważa za dobre i tych się nie wstydzi, ale nie ukrywa, że popełnił także sporo błędów. Ciągłe ma chęć dalszego doskonalenia się, kształcenia. No i upór, który nie pozwala mu na załamanie się nawet w tak ciężkiej chorobie.

Zenon Sieradzki przez wiele lat był pracownikiem poczty, która to instytucja — o czym niewielu zapewne wie — bardzo dba o pielęgnowanie szerokiego zainteresowania swoich pracowników. Poczta wielokrotnie organizowała konkursy malarskie i rzeźbiarskie. W wielu z nich brał udział Zenon Sieradzki.

Było to już w czasie choroby. Otrzymał zawiadomienie z Warszawy, że ma zgłosić się na rozstrzygnięcie konkursu rzeźbiarskiego. Jak na złość spóźnił się na właściwy pociąg i musiał wsiąść w drugi, który przyjeżdżał do stolicy po godzinie oficjalnego ogłoszenia wyników konkursu. Na



salę wpełchnęła go sekretarka. Długo nie mógł zrozumieć, co oznacza koperta z rzymską jedynką, zawierającą 1600 złotych. Dopiero kolega powiedział mu, że otrzymał pierwszą nagrodę za rzeźbę pocztowca.

— Taką sumę za rzeźbę dostałem pierwszy raz w życiu — mówi. — Muzeum w Łęczycy przyznawało nam nagrody w wysokości stu, dwustu złotych. Żoną dziwiła się i ucieszyła.

Jest członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Przed kilkoma dniami na zgierski adres Zenona Sieradzkiego przyszedł list, który zdumiał całą rodzinę. Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało mu 400-złotowy dodatek do renty. W uznaniu jego twórczości rzeźbiarskiej i malarskiej.

Pani domu z głębi przepaścistej szafy wyjęła kilkanaście niewielkich fotografii. To najważniejsze dzieło Zenona Sieradzkiego: pomnik w Modlinie. Na tamtejszym cmentarzu, w kamiennych kwadratach, leży 236 żołnierzy z 17 dywizji piechoty Armii „Poznań”. Zginęli we wrześniu 1939 roku. Grobami opiekują się uczniowie szkoły w Sokolnikach. Zawsze we wrześniu składają na mogiłach wiązanki kwiatów. Sieradzki postanowił wyrzeźbić pomnik z kamienia, który ustawiono by przy grobach. Z propozycją taką zwrócił się do kierownika szkoły. Została ona przyjęta i Sieradzki opracował projekt.

W poszukiwaniu odpowiedniego kamienia zjechał na rowerze wielokrotnie wokół. W końcu znalazł to, czego szukał. Wiele dni pracował wykluwając swoją wizję. Gdy pomnik stanął, Sieradzki na odwrocie płyty umieścił swój podpis. Tak aby nie wpadł w oczy ale — żeby był. Ten pomnik jest jego śladem, tym co przetrwa.

— Gdybym żył sto lat — powiedział nam na pożegnanie — nie zdołałbym jeszcze wyrzeźbić tego co wymyśliłem!

MARIAN MAJ  
MIROSLAW KUŹNIAK

Foto: R. Łucyszyn

# UPÓR Z DRZEWA i kamienia



wielu laty, kiedy jeszcze mieszkał w Łodzi. Jego talent rozwinął się jednak dopiero w Sokolnikach, dokąd jeszcze przed wojną przeniósł się z całą rodziną.

— Kocham wieś — mówi. — W Sokolnikach znalazłem warunki do pracy. Czysta, Wokół lasy. Żadnego pośpiechu, gonitwy. Aż nadto czasu, aby pomyśleć nad każdym projektem. Zastanowić się, co można zrobić z kawałka drzewa.

Z pierwszą rzeźbą wiąże się zabawna anegdota. Zenon Sieradzki wyrzeźbił w słupach podtrzymujących drewnianą konstrukcję sokolnickiego domku zarysy dwóch postaci. Sąsiedzi nie zauważyli tych rzeźb. Któregoś wieczoru jedna z sąsiadek przechodziła obok furtki. Nagle zaszczeakał pies. Zaskoczona tym kobieta spojrzała na jaśniejące w blasku księżyca postacie. Wydała głośny krzyk i ucieka do swojego domu.

— Niech pana diabli wezmą! — powiedziała następnego dnia Sieradzkiemu. — Przestraszyłam się tych dwóch na słupach. Myślałam, że to oni nagle zaszczeekali!

Rzeźby Zenona Sieradzkiego stały się sławne w Sokolnikach. Zaczął coraz poważniej interesować się rzeźbieniem. Któregoś dnia, a było to w latach pięćdziesiątych, wybrał się na wystawę ówczesnie najslawniejszego rzeźbiarza łęczyckiego, Aleksandra Kamińskiego z Oraczewa.

— Nie chcę ujmować panu Kamińskiemu ani sławy, ani talentu, ale szczerze powiem, że nie za bardzo spodobały mi się wtedy jego rzeźby. Wszystkie twarze były podobne do siebie: i dziecka, i kobiety, i Żyda z workiem na plecach. Ja starałem się nigdy nie powielać rysów twarzy. Niczego nie powtarzać. Każda rzeźba musiała być inna.

Pracami Sieradzkiego zainteresowała się ówczesna kustoszka muzeum łęczyckiego, zasłużona popularyzatorka sztuki ludowej tego regionu, mgr Jadwiga Grodzka. Jego rzeźby zaczęły pojawiać się na wystawach, choć Jadwiga Grodzka miała zastrzeżenia, że były nazbyt „artystyczne”.

— Pani kustosz próbowała mi wskazać właściwą drogę — mówi Zenon Sieradzki. — Powiedziała tak: niech pan każe wnuczkom lub jakimś dziecku sąsiada ulepić z gliny postać



## OBYCZAJE

Aresztowany popełnił samobójstwo. Nie zdążył już złożyć wyczerpujących zeznań. A z całą pewnością miałby bardzo wiele do powiedzenia. Przez parę ładnych lat był przecież wielkim bossem międzynarodowego gangu handlarzy złotem, działającego z rozmachem w kilku krajach Europy!

### Cena pokusy

Latem 1973 r. wrocławianka Renata G., podczas orbisowskiej wycieczki do Rumunii, kupiła w Ploeszti od pokątnego handlarza wspaniałą złotą bransoletę. Rzecz była nowiutka: oczywiście próby i wszystkie znaki jubilerskie miała w absolutnym porządku. Pani Renata liczyła na spory zysk z okazynego nabytku. Aliści przy próbie sprzedaży jubilerskiego cacka w kraju wybuchła bomba! Nabywca, zamiast cieszyć się złotym zbytkiem, popędził mocno rozeźloną do najbliższego komisariatu.

Milicyjni eksperci stwierdzili, że bransoletka jest fałszywa, pomimo prawdziwie wyglądających, wybitych na niej zna-

ków jubilerskich! Stop, z którego była zrobiona, zawierał wprawdzie cokolwiek złotego kruszcu, ale w ilości mocno odbiegającej od ustalonych norm.

W Rumunii w ciągu paru lat oszukano w identyczny sposób wielu turystów-komwojażerów. Podobnie w Jugosławii, Bułgarii i na Węgrzech. Związka fałszywych wisiorów z Kleopatry przywieźli stamtąd pazerni naiwniacy, mnóstwo.

Wiosną 1974 r. rzeszowianin Marian B. kupił w Odessie od pokątnych handlarzy, aż 4 pary obrączek z lipowego złota. Jesienią tego samego roku warszawianka Joanna W. kupiła na czarnym rynku w Mińsku 2 obrączki i broszkę, też z lipowego złota. Dwa lata później Adam J. z Lublina przywiózł z Kijowa duży męski sygnet i medalion na łańcuszku, także fałszywe, choć z prawdziwymi próbami.

W Berlinie na Alexanderplatz, czy też w Wiedniu, w dziesiątkach cichych restauracyjkach na Grinzingu, można było z kolei kupić monety z fałszywego złota, udające z powodzeniem autentyczne afrykanki, krugerandy i rzadkie już świnki.

## Na tropie

Polska Służba Bezpieczeństwa, zaalarmowana wzrastającą szybko liczbą przypadków szmuglu i sprzedaży lipowego złota, wszczęła intensywne postępowanie wyjaśniające. Eksperci szybko ustalili fakt zdumiewający. Wszystkie fałszywe błyskotki, choć przywożone z różnych krajów, były wykonane z takiego samego stopu metali kolorowych, z niewielkim dodatkiem złota. Próby i znaki jubilerskie, jakimi była cechowana fałszywa biżuteria, miały identyczne charakterystyki, co oznaczało, iż były one odbijane tym samym kompletem sztańc. Stało się jasne, że gdzieś w Europie działa międzynarodowy gang wytwórców i handlarzy fałszywego złota!

### Dom w dzielnicy willowej

W śródmieściu Łodzi jest chyba tylko jedna taka ulica. Od początku do końca prawie

same piękne wille, jeszcze przedwojenne i zupełnie nowe, kilka nawet dwupiętrowych. Jeden tylko masywny, niemal koszarowy budynek odbija surowym wyglądem od wycackanych prywatnych pałacyków — to już gmach poważnej, państwowej instytucji.

Mniej więcej w połowie ulicy, po prawej stronie, zwraca uwagę ozdobna trzyczęściowa brama, kuta misternie w czarnym żelazie. Po obu stronach po trzy smukłe jodły. W głębi, w gęstwie ogrodu — nieduża wykładana piaskowcem willa. To właśnie w tym niepozornym budynku mieściła się „centrala” gangu. Tutaj zbierały się wszystkie nici przestępczej siatki. Ich koniec mocno dzierzył w garści jeden tylko człowiek — organizator, mózg i wielki boss złotego gangu.

Aresztowany popełnił samobójstwo. Nie zdążył już złożyć wyczerpujących zeznań. Wiadomo jednak, że w całej jego niechlubnej, przestępczej działalności główną rolę odegrała owa szczególna łódzka

ulica i willa „pod jodłami”, gdzie mieszkał.

### Spadek i amory

Remigiusz K., bo to o nim mowa, nie miał zbyt wiele

przepustek, przy okazji wizyt u swojej starej ciotki, niejako po sąsiedzku. Z odwiedzin wskazywał nic nie wyszło i Remigiusz dostał kosza.

Eleonora była panną z najlepszego domu w dzielnicy willowej, córką wielkiego geszefciarza, a Remigiusz zwyczajnym „lapciuchem” ze starej czynszówki, na skromnej państwowej posadzie.

# ZŁOTA

szczęścia w życiu. Rodzice odumarli go wcześniej, ledwie zdążył zdać maturę na mechanika precyzyjnego. Zaraz więc po ukończeniu szkoły musiał iść do pracy, porzucając marzenia o studiach politechnicznych. Niedługo potem poszedł do wojska. Po dwóch latach wrócił, znerwicowany, zgorzkniały ponurak, aż go znajomi nie poznawali. Nikt nie wiedział, że stało się to za sprawą pewnej uroczej łódzianki, Eleonory S., którą Remigiusz odwiedzał podczas

Remigiuszowi zdarzyła się jednak niespodziewana odmiana losu. Jego stara ciotka oddała Panu Bogu ducha, dalekim krewnym nieco ruchomego mienia, a Remigiuszowi całe swoje nieruchomości — nie duży domek z ogródkiem w ekskluzywnej dzielnicy willowej. Tak to Remigiusz stał się nieoczekiwanie najbliższym sąsiadem swej niedoszłej oblubienicy. Przemieniony nagle z



Dalszy ciąg ze str. 1

Pierwszy zastępca dyrektora Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi — inż. Włodzisław Szuflet — podał mi wielkość przesyłek, jakie w ciągu roku docierają i odchodzą z miast i wsi województwa łódzkiego. I tak w ciągu roku dociera się 45 milionów listów zwykłych, 6 milionów listów poleconych, 75 tysięcy paczek. W tym samym czasie przy okienkach pocztowych przyjmuje się 6,5 miliona listów poleconych, 2,2 miliona paczek i 6,5 miliona przekazów pieniężnych. Poczta ma świadomość rosnącego zapotrzebowania na jej usługi i stara się doskonalić swoją pracę. Ale nie jest to sprawa ani taka łatwa, ani taka prosta.

Co jest pocztą potrzebną, aby mogła sprawnie funkcjonować?

— Potrzeba nam — powiedział inż. Szuflet — odpowiedniej ilości właściwie rozlokowanych urzędów pocztowych. Potrzeba właściwego wyposażenia tych urzędów. Potrzeba ludzi, którzy chętnie podjęliby pracę na poczcie i dobrze się z niej wywiązywali. Potrzeba takiej ilości samochodów, która gwarantowałaby terminowe doręczanie przesyłek adresatom. Potrzeba stałe wdrażającej mechanizacji pracy.

Sądząc z tej wypowiedzi, poczta nie ma jeszcze tego wszystkiego, czego potrzeba jej do właściwego spełniania roli i funkcji, jakich oczekuje od niej społeczeństwo. Aby to dokładnie zrozumieć prześledźmy

# LOSZY NIEKÓRYCH PRZESYLEK

Kierownik działu służby pocztowej w Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi — Czesław Ciesielski wyjaśnił mi, że przeszło 80 procent przesyłek w województwie łódzkim miejskim doręczanych jest w tak zwanym czasie kontrolnym. Czas ten dla listów nadawanych w Łodzi i adresowanych do łódzkich odbiorców wynosi 24 godziny, a więc tyle samo, co czas kontrolny dla listów nadawanych do Łodzi z innych miast. Liczy się on od momentu wyjęcia listu ze skrzynki pocztowej i postawienia stempelka, do momentu przekazania przesyłki listonoszowi. Jest to więc czas kontrolny poczty, a nie ten, który upływa od chwili wrzucenia listu do skrzynki — do pojawienia się listonosza u adresata. Ale zdaniem pocztowców wprowadzenie czasu kontrolnego ułatwia im śledzenie sprawności funkcjonowania urzędów pocztowych i pomaga w doskonaleniu organizacji pracy.

Adresata i nadawcę mało interesują wewnętrzne poczynania poczty, on chce, aby skutki ich były korzystne dla niego. Cieszy się, kiedy widzi wiersz listonosza jeżdżącego motorowerem, motocyklem, a ostatnio nawet samochodem, bo wie, że dzięki temu szybciej otrzyma przesyłkę. Cieszy się również, kiedy dowiaduje się o powoływaniu osiedlowej służby doręczycielskiej, bo spodziewa się, że przesyłka dotrze bezpośrednio do rąk adresata.

# OSIEDLOWA SŁUŻBA DORĘCZCIELSKA

polega na tym, że poczta proponuje rencistom lub kobietom zajmują-

cym się domem, aby podejmowali się pracy listonoszy na pół etatu. Poczta dowodzi w takim wypadku przysięgi do listonosza osiedlowego, a ten może po południu, kiedy już wszyscy są na ogół w domach, roznieść je adresatom. Taka osiedlowa służba doręczycielska — jak to nazywa się w pocztowej nomenklaturze — dobrze rozwija się w województwach śląskim i łódzkim. Znacznie gorzej w Łodzi. Sporo pisze się o tym w gazetach i pomyśl się, podobnie, bowiem ludzie spodziewają się, że nie będą już musieli po paczki, pieniądze czy listy polecone biegać na pocztę.

Spokaleń się też jednak z wątpliwościami, dotyczącymi tej sprawy. Po pierwsze — osiedlowy listonosz, roznosząc pocztę po południu, powinien docierać bezpośrednio do adresata, a nie wkładać ich do skrzynki, gdyż to miałyby się z celem i listy docierałyby do adresatów niekiedy dopiero następnego dnia rano, kiedy wychodzą oni do pracy. Drugie zaś zastrzeżenie jest natury delikatniejszej. Co z tajemnicą korespondencji? Co będzie, jeśli człowiek pełniący rolę osiedlowego listonosza wykaże nadmiar ciekawości i nie oprze się pokusie dowiedzenia się, o czym ludzie piszą do mieszkańców jego osiedlowego rejonu? Mając u siebie całą osiedlową korespondencję może dołączyć poznawac prywatne sprawy swoich sąsiadów. Czy poczta „poletowa” dotrzyma „pełnotatowej” tajemnicy?

Praca na poczcie była kiedyś domową mężczyzną, teraz pracuje na poczcie

kład księgarń. Kiedyś Składnica Księgarska rozwioza książki własnymi samochodami, teraz korzysta z usług poczty. Efekt tego jest taki, że książki recenzowane w Warszawie, powiadamy, w styczniu, trafiają do łódzkich księgarń w lutym lub w marcu i to nie do wszystkich w jednym czasie. O książce jest już głośno, toczy się nad nią dyskusja, a my nie możemy zobaczyć jej.

Poczta próbowała wprowadzić porozumienie z różnymi instytucjami, proponując im, aby odbierały paczki na przykład w wolne soboty, kiedy poczta dysponuje wolnymi samochodami, ale nie z tego nie wyszło. A transport ma dla poczty zasadnicze znaczenie. Nie trzeba tego chyba nikomu specjalnie tłumaczyć.

# BRAKUJE 10 SAMOCHODÓW

każdego dnia i to dezorganizuje pracę poczty. Czesław Ciesielski poinformował mnie, iż poczta niejednokrotnie ucieka się do tego, że wy-

# LUDZIE LISTY PISZĄ

najmnie taksówki, aby tylko sprostać swoim obowiązkom. Nie jest to sytuacja normalna. Nienormalną sytuacją jest również brak ludzi, chociaż z takim zjawiskiem można spotkać się na poczcie. Dziennie brakuje także średnio 80 listonoszy w województwie łódzkim miejskim. Jest to obecnie zawód niepopularny. Młodzi ludzie wstydzą się biegać z torbą listonosza po ulicy, a poza tym gdzie indziej mogą znacznie więcej zarobić. Stąd coraz częściej spotykamy kobiety roznoszące przesyłki. Ale z kobietami — mówią w dyrekcji poczty — wiadomo jak jest kłopot. Albo same chorują, albo chorują im dzieci. I dlatego często rejon listonosza gwałtownie się rozszerza, gdyż musi on nie tylko roznieść swoją pocztę, ale i pocztę sąsiada. I tu jest gotowa odpowiedź na pytanie: dlaczego nie mamy w Łodzi poczty południowej? Bo nie ma jej kto roznieść. I stąd prosty wniosek, dlaczego rozwiązań szuka poczta powołując osiedlową służbę doręczycielską.

— Dodatkowym utrudnieniem w terminowym doręczaniu listów —

powiedziała Władysława Scibiorek, kierownik sekcji eksploatacji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi — są spóźnienia pociągów. W miesiącu spóźnia się średnio 100 pociągów. Opóźnienie pociągu powoduje opóźnienie przesyłki, bo przychodzi ona już po rozdzieleniu poczty, albo już po wyjściu doręczyciela i musi czekać na następnej kolejki.

Wszyscy są zgodni, że wyjściem jest

# MECHANIZACJA PRACY

Postępuje ona jednak powoli. Zainstalowano już w urzędach pocztowych automaty do sprzedaży znaczków, kopert, pocztówek. Niektóre urzędy prowadzą obliczenia przy pomocy minikomputerów, jest też coraz więcej maszyn do liczenia. Dzień się urząd pocztowych w kraju, w tym również jeden w Łodzi, dysponują mechanicznymi urządzeniami do rozdzielania paczek. Ale to wszystko mało.

Przed ośmiu laty wprowadzono w Polsce KOD POCZTOWY, argumentując potrzebę takiej operacji mechanizacji rozdzielania listów. Jak do tej pory ani jeden urząd pocztowy w Polsce nie posiada maszyny do mechanicznego rozdzielania listów. Przyzwyczajaliśmy się już do tego, że w adresie wpisuje się cyferki kodu, ale nadal mam wątpliwości, po co? Czesław Ciesielski jest innego zdania. Wprowadzenie kodu — twierdzi — znacznie usprawniło rozdzielanie listów. Dawniej sortowacz w ciągu godziny dzielił 1200 listów, obecnie 3000. Szybciej też uczy się tej pracy, nie musi poznawać pocztowej geografii, wystarczy, że nauczy się dzielić listy według oznaczeń kodu. Jednak postęp osiągnięty w jednej dziedzinie jest pomniejszany w innych, o których już wcześniej wspominałam.

Ilość listów nadawanych na pocztę rośnie nieustannie. Poczta „zatyka się”, kiedy zaczynamy wysyłać świąteczne życzenia, kiedy kończy się rok i przez kraj płyną sprawozdania. Władysława Scibiorek opowiedziała mi o takich wypadkach, kiedy urząd gminy wysyłał pocztą pisma do instytucji znajdujących się po drugiej stronie ulicy. Na pocztę było dalej niż do adresata... Ilość korespondencji urzędowej miała się zmniejszyć przez wprowadzenie telexów. Telex miał też przyspieszyć możliwość porozumiewania się instytucji. Ale tak się nie stało. Nadal nie potrafi się u nas korzystać właściwie z telexu, a niekiedy brak pieczątki na telexowym tekście odbiera mu urzędową moc. Niewiele też pomaga tu telefon.

# TELEFON TO PRZEDMIOT MARZEN

ponad 50 tysięcy łódzian, którzy złożyli podania z prośbą o zainstalowanie im tej upragnionej aparatury. Wybudowanie nowych central poprawiło sytuację Łodzi pod tym względem, ale województwo łódzkie miejskie z 83,1 tysiącami telefonów zajmuje w kraju trzecie miejsce po województwie katowickim, które ma 143,2 tysięcy aparatów telefonicznych i warszawskim stołecznym, które ma 302 tysiące telefonów. Jeśli chodzi o ilość telefonów prywatnych, to spadamy na piąte miejsce z 49,7 tysiącami telefonów, po województwach:

wrocławskim (53,2 tysięcy), gdańskim (55,2 tys.), katowickim (94,2 tys.) i warszawskim (228,7 tys.).

Kiedy u nas będzie lepiej?

Jak wynika z informacji inż. Włodzisława Szufleta, w 1979 roku zainstaluje się w województwie 5,5 tysiąca nowych telefonów. Jest to mniej, niż zainstalowano w 1978 roku, bo założono wtedy 7214 i mniej niż w 1977 roku, kiedy to otrzymaliśmy rekordową ilość nowych podłączeń, bo 11,5 tysięcy. Dzięki tym podłączeniom mamy obecnie 9 aparatów telefonicznych na 100 mieszkańców, a jeszcze niedawno było ich tylko 6. Ale jest to ciągle mało.

Kto może spodziewać się w Łodzi zainstalowania nowego telefonu w 1979 roku?

Mogą się tego spodziewać mieszkańcy osiedli Czerwony Rynek, Żubardz, w niewielkim stopniu mieszkańcy Retkini i Widzewa Wschód. Główną przeszkodą jest brak kabli. Do tej pory Łódź otrzymywała poniżej 50 procent zapotrzebowania na kable telefoniczne. Po modernizacji fabryki w Ożarowie sytuacja ma ulec zmianie. W jakim stopniu, tego nikt w Łodzi nie wie, bowiem uzgodnienia dokonuje się na zupełnie innym szczeblu urzędniczej hierarchii. Radykalnie zmieni się sytuacja w Łodzi, kiedy wybudowane zostanie Wojewódzkie Centrum Telekomunikacji. W 1979 roku zacznie się wyburzać teren pod budowę. Kiedy budowę się ukończy? Zamiast konkretnej odpowiedzi podam tylko, że w 1978 roku Ministerstwo Łączności wydało zaledwie 2,4 procent z funduszy przeznaczonych na nakłady inwestycyjne.

W ostatnich ośmiu latach poczta przyjęła na siebie

# WIELE NOWYCH OBOWIĄZKÓW

co jest wynikiem rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. Obecnie nowe obowiązki już nie przyjmują, doskonałą pracę nad tymi, które ma.

W odczuciu społecznym poczta przechodzi kryzys, klient nie zadowolony powoli postępuje. Klient ocenia pocztę na podstawie kontaktu z urzędnikiem przy okienku, terminowości doręczania mu przesyłek, sprawności działania telefonów. Denerwuje go to, że długo musi czekać na sygnał telefoniczny, że są częste pomyłki, że na naprawę telefonu trzeba czekać tygodniami.

Mamy wszyscy świadomość, że praca na poczcie nie należy do najłatwiejszych. że poczta jest niedotawestowana, że ludzie wolą na pocztę nie pracować, że występuje tu wiele trudności obiektywnych. Ale klient, nie bez pewnej racji, uważa także, że poczta dokonując zmian organizacyjnych częstokroć ułatwia pracę sobie, a nie zawsze myśli o wygodzie klienta, któremu przecież ma służyć.

Wysłuchałam bardzo uważnie racji przedstawicieli poczty i niektóre z nich starałam się obiektywnie przedstawić Czytelnikowi. Wiem jednak, że to mało kogo zadowoli, bowiem postęp poczty w odczuciu społecznym mierzy się nie ilością i jakością podejmowanych przedsięwzięć, ale ich skutecznością. A ta — niestety — ciągle jest niska.

BOGDA MADEJ

# Ucieczka

Jesienią 1978 r. Remigiusz K. postanowił szybko wiać z kraju. Czas był po temu najwzruszający! W kilku krajach jednocześnie zatrzymano wielu ludzi z jego gangu. Groźba niechybnej, rychłej wpadki zawisła nad głową bossa.

Zalutwiał sobie orbisowską wycieczkę do Paryża. Zamierzał urwać się gdzieś po drodze, najpewniej w RFN. Pospiesznie spakował manatki, wsiadł do orbisowskiego samochodu i ruszył w wielki, wspaniały świat, gdzie miał rozpocząć nowe, dostatnie i lekkie życie.

Nie zdążył! Został zatrzymany na przejściu granicznym w Ślubicach, co wywołało niemałą sensację wśród jadących z nim turystów. Aresztowany popełnił samobójstwo. Jednym gwałtownym skurczem szcęk, miażdżącymi kapsułką z cyjanidem, przeciął swoje wielkie marzenia, by się odegrać za wszystkich dawne upokorzenia.

ZBIGNIEW S. NOWAK

# ODGŁOSY 5

# PAJĘCZYNA

## Złudny blask

Remigiusz porzucił więc państwową posadę i za oszczędności otworzył niewielki zakład. Zaczął produkować metalową galanterię — guziki, sprzączki, klamki.

Pewnego dnia wpadł mu w ręce niezwykle eksponat — stary metalowy guzik, który miał służyć za wzór do produkcji. Oglądał go długo, ze wzrastającym zainteresowa-

niem. Gdy bowiem Remigiusz potarł o rękaw przybrudzony mocno guzik, zaśnił on niespodziewanie wspaniałym złotym blaskiem. Trudno było uwierzyć, by zwyczajny, grzybowaty zapinek, choć nieco zabłykowy, był z autentycznego złota. A jednak jasny złoty blask był bardzo wyrazisty. Zaintrygowany tym Remigiusz pobiegł do znajomego inżyniera

złomu. Pracował z uporem, kombinował, obracał tyglami. Po wielu nieudanych doświadczeniach udało mu się osiągnąć upragniony cel. Wyprażona w ogniu sztabka śliska niczym najprawdziwsze złoto. Po roku Remigiusz potrafił już produkować biżuterię prawie niczym stary jubiler. Dla niepoznaki, na wypadek niespodziewanej kontroli zakładu, zaczął produkować, w ramach oficjalnej działalności, posłane galanterię dla prywatnych

by się poznał na podstępnie.

Remigiusz wrócił do domu chory z wrażenia. Ten złoty guzik mógłby być dlań kluczem do fortuny!

Dalej już wypadki potoczyły się w szybkim tempie. Przez kilka tygodni Remigiusz uzupełniał wyposażenie swojego warsztatu, zgromadził zapas potrzebnych metali kolorowych, kupił też trochę złotego

sklepiarkę. A po cichu robił swoje — złoto, śliski szpan. Śliskie złociście, opatrzone próbnymi błyskotkami mogły z powodzeniem zdobić wystawy jubilerskich nawet na słynnej nowojorskiej 12-th Avenue...

## Złota pajęczyna

Remigiusz postanowił co rychlej wypróbować wartość swoich jubilerskich dokonań. Ucharakteryzowany na turyście — zagranicznika wybrał się na sobotni bazar na Wodną. Ku swojemu ogromnemu zdumieniu bardzo szybko znalazł amatorów aż na 4 pary obrączek. Sprawdzian wypadł znakomicie.

Remigiusz ani myślał działać pochopnie. Myślał wykonać najbezpieczniej by-łoby upłynąć szpan przez pośredników i najlepiej gdzieś za granicą, lasym na złoto polskim turystom. Gdyby nawet ktoś zorientował się, że go szpetnie nabrano, to i tak nigdzie nie pójdzie ze skargą, w trosce o własną skórę.

Dość łatwo znalazł chętnych do współpracy w „złotym inte-

resie”. Zorganizował kilka niezależnych, odrębnych grup handlarzy, stosując z wyczuciem wypróbowane zasady konspiracji. Niezbędne kontakty ograniczył do kilku osób, sześć poszczególnych grup. Bossa znali nieliczni, tak było bezpiecznie. Wszystko na wzór klasycznego, najprawdziwszego gangu. Opracowane zostały w szczegółach sposoby szmuglu

lipnego złota za granicę, kursy sprzedaży, zasady podziału zysków. Armia handlarzy ruszyła w świat.

Jak wielkie zyski czerpał Remigiusz K. z tego „interesu”, można się tylko domyśleć. W każdym razie musiały być ogromne, bo bardzo szybko dawny „lapiuch” stał się jednym z największych tuzów nie tylko łódzkiego podziemia gospodarczego. Po roku zapomniał o swej wielkiej, nieszcześliwej miłości do Eleonory, a na całą „elitę” z dzielnicy willowej patrzył mocno z góry, z nowitkiego, pierwszego chyba w Łodzi sportowego „Porche”.

Jego ambicje sięgały znacznie wyżej i dalej. Za granicą otworzył kilka cichych kont bankowych, gdzie zaczął gromadzić fortunę na dostatek zycie gdzieś w ciepłych krajach.



Hamburski tygodnik STERN w numerze 10 z 1 marca br. zamieszcza relację swojego reportera Guentera Dahla z 313 dni rozprawy w toczącym się w Duesseldorfie procesie oprawców z byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku. Poniżej tekst relacji.

Jeżeli porównać z tym co od 26 listopada 1975 r. dzieje się w sądzie krajowym w Duesseldorfie, to amerykański serial telewizyjny „Holocaust” o zagładzie Żydów w czasach Trzeciej Rzeszy był tylko drogowym pokazem pokazującym drogę do piekła. Kto trafi do sali nr 111, gdzie obraduje sąd przysięgłych, ten wróci do samego piekła.

W drugim dniu rozprawy, a więc ponad trzy lata temu, adwokat z Mannheim Ludwig Bock sztycherem prorokował, że opinia publiczna będzie mało interesowała się procesem zbrodniarzy hitlerowskich: „Za dwa tygodnie zostanie tylko we własnym gronie”. Przez dwa lata wydawało się, że obrońca będzie miał rację. Nie mógł on przewidzieć, że telewizja wyświetlająca „Holocaust” wyrwie naród niemiecki z niewiedzy i zapomnienia. Szczególnie młodzi chcą obecnie wiedzieć, co działo się wówczas w hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy. Miejsca dla publiczności w sali sądowej na całe miesiące są zarezerwowane dla klas szkolnych.

W lutym przeżyłem 313 dzień rozprawy w procesie oprawców z Majdanku. W obozie koncentracyjnym na Majdanku położonym w pobliżu polskiego miasta Lublin zamordowano co najmniej 250 tys. ludzi, przede wszystkim Żydów, w tym wiele kobiet i dzieci, z warszawskiego getta. Zastrzelono ich, zatłuczono na śmierć, zagazowano, spalono — zależało to od humoru nadzorców z koncentracyjnego obozu oraz od wielkości transportu więźniów, z którymi trzeba było się uporać. Przerabiali blansy jest odnotowany w aktach: od 1942 do 1944 r. w komorach gazowych Majdanka zużyto 7711 kilo trującego gazu Cyklon B a przemysłowi dostarczono 730 kilo ludzkich włosów.

Kiedy w listopadzie 1975 roku rozpoczął się proces, przed sądem stanęło szesnastu oskarżonych o udział w masowym mordzie — dziesięciu mężczyzn i sześć kobiet. Jeden z nich tymczasem zmarł w wieku 72 lat. Jeden po zawale serca nie może brać udziału w rozprawie. Każdy z oskarżonych osłaniany jest przez dwóch obrońców, którzy opłacani są z kasy państwowej.

Każdy obrońca za jeden dzień rozprawy ma prawo do 600—700 marek wynagrodzenia za udział w posiedzeniu. W sumie za jedno posiedzenie wynosi to 20 tys. marek, nie licząc kosztów podróży i hoteli adwokatów, którzy przybywają z daleka. Podliczenie samych tylko 20 tys. marek za 319 dni rozpraw, które się dotychczas odbyły (do 16 lutego 1979 r.), daje sumę 6,5 miliona marek. Do tego dochodzą koszty podróży i pobytu większości zagranicznych świadków oraz wynagrodzenie dla pięciu sędziów, trzech sędziów zastępczych, dwóch prokuratorów oraz wielu obrońców, którzy muszą latać do USA, Kanady, Polski i Izraela, aby przesłuchać tych spośród 260 świadków, którzy nie mogą bądź nie chcą przybyć do Duesseldorfu.

Według ostrożnych ocen, dotychczasowe koszty procesu wyniosły 10 do 12 mln marek. Sąd ma nadzieję, że doprowadzi do zakończenia procesu w tym roku. Może on jednak przeciągnąć się jeszcze na rok 1980. Jest to najdłuższy i najkosztowniejszy proces, jaki kiedykolwiek przeprowadzono przeciwko winowajcom hitlerowskim. (Organ sprawiedliwości Republiki Federalnej przeprowadził dotychczas łącznie 84400 dochodzeń przeciwko przestępcom hitlerowskim 6432 osoby zostały skazane — dop. STERNA).

Tego 313 dnia rozprawy chodziło o czyny oskarżonej Hildegard Laechert, której akt oskarżenia zarzuca udział w 1196 morderstwach. Liczy ona dzisiaj 59 lat. Wówczas miała ona 22 lata i pod imieniem „Krwawa Brygida” była jedną z nadzorczyń obozu koncentracyjnego na Majdanku, która z powodu swojego sadzizmu i okrucieństwa budziła największy strach. Zarzuca się jej, że poszczuła swojego owczarkę na znajdującą się w zaawansowanej ciąży Polkę imieniem Władka. Władka jako pokolówka musiała sprzątać mieszkanie jednego z SS-mańskich nadzorców i została przez niego zgwałcona. „Krwawa Brygida”, która była kochanką tego SS-mana, pozwoliła swojemu psu dosłownie rozszarpać ciężarną Władkę i na oczach innych więźniów wyrwać dziecko z łona matki.

Świadek Nina Rawska, 57-letnia Polka z Wrocławia, dawnego Breslau, która przybyła

GUENTER DAHL

# 313 DZIEŃ

do Duesseldorfu, była przy tym, kiedy doszło do tej rzezi. Błada, wciąż zalamującym się głosem, odpowiada na pytania przewodniczącego sądu, który musi sprawdzić wiarygodność świadka, pytania, które z uwagi na swoją drażliwość brzmią dla przysłuchujących się okrutnie: „Gdzie pani stała, po lewej czy po prawej stronie Władki?” — „Czy to było rano, w południe, czy wieczorem, czy było jeszcze jasno?”.

Świadek nie musi niepokoić się o swoją wiarygodność. „Kiedy Władka i jej dziecko już nie żyły, Brygida poszczuła swojego psa również na mnie. Zasłoniłam twarz rękami”. Świadek poddaje rekawki swojej bluzki i pokazuje zabliznione rany od ukąszeń. W sali panuje śmiertelna cisza. „Krwawa Brygida” wlepiła oczy w swoją torebkę. Oskarżony Ellwanger, były nadzorca SS-mański, odkłada na bok dziennik BILD z rozwiązana w połowie krzyżówką. Dziewczęta z dziesiątej klasy jednej ze szkół średnich na ławach dla publiczności prześledzić ścieżki papierkami od cukierków i żuć gumę. Na ścianie nad głowami sędziów wisi krzyż z cynku.

Przewodniczący sądu: „Są jeszcze pytania do świadka?”. Nie ma żadnych dalszych pytań.

Henrita Nitron, 58-letnia malarka przybyła z Nowego Jorku. Drobną, precyzyjnie formułującą zdania kobieta. Młody tłumacz przekłada z języka angielskiego na niemiecki. Pani Nitron miała 22 lata, kiedy wraz z rodziną zabrano ją z warszawskiego getta do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Jej rodzice natychmiast po przybyciu do obozu zostali zamordowani. Ona sama przeżyła selekcję. Sąd pyta ją o stracenie 18-letniej polskiej dziewczyny, która uciekła z obozu, ale została ponownie złapana. Została powieszona na oczach wszystkich więźniów, mieszkających z nią wspólnie w jednym baraku. Świadek zeznaje, że „Krwawa Brygida” kopnęła stołek, na którym stała dziewczyna z głową wciśniętą w pętlę sznura,

i zagroziła, że kto odważy się zapłakać, ten również trafi na szubienicę.

Znowu pytania sądu, które trzeba postawić nawet, jeżeli przejmują grozą: „Z której strony przywleczono dziewczynę? Kto jej towarzyszył z załogi SS: mężczyźni czy kobiety? Czy pani stała bardziej z przodu czy bardziej z tyłu? Czy dziewczyna była bosą czy w butach?”.

Świadek udziela jasnych informacji o budzącej grozę przesłuchaniu sprzed ponad trzydziestu pięciu lat. Raz prosi o przerwanie pytań. Nie chce, aby widziano jej łzy.

Tymczasem obrońcy przeglądają poranne dzienniki. Większość oskarżonych gawędzi sobie na korytarzu sądowym i pali papierosy. Oskarżony Ellwanger, któremu zarzuca się zastrzelenie 60 do 80 zakaznie chorych, zasłabła się znowu w rozwiązywanie swojej krzyżówki. Proku-

elski adwokat i jako „dziennikarz”, który chce pomóc, aby wszyscy winni stanęli przed sądem. Próbowal też wywrzeć wpływ na zeznania jednego ze świadków z Polski obdarowując go prezentami.

Obrońca prawa i członek neofaszystowskiej partii NPD Bock załatwiał jeszcze inne sprawy. W czerwcu 1977 roku kobieta — świadek opowiedziała o tym, jak na Majdanku musiała przenosić z magazynu do komór gazowych pojemniki ze śmiercionośnym Cyklonem B. Wówczas adwokat Bock zerwał się ze swojego krzesła i zażądał natychmiastowego aresztowania świadka na sali sądowej z powodu podejrzenia o współudział w morderstwie.

Wśród obrońców członków załogi SS z Majdanku jest jeszcze adwokat Hermann Stöting II z Frankfurtu a/Menem, liczący dzisiaj 67 lat. „Dr Stöting jest oddany narodowo-socjalistycznemu państwu. Jego sprawowanie się zarówno w służbie jak i poza służbą jest nienaganne”. Z taką oceną łatwo mu było w 1943 roku robić prokuratorską karierę. W hitlerowskim sądzie specjalnym w Bydgoszczy przyglądał się on skrupulatnie pracy kata, kiedy ten wykonywał wyroki śmierci, których on się domagał. Liczące 14 lat polskie dziewczę zostało przez Stötinga wysłane na pięć miesięcy do obozu karnego za to, że podała cukierka jednemu z angielskich jeńców wojennych.

Wymiar sprawiedliwości zajął się oczywiście po wojnie adwokatem Stötingiem. Dochodzenie przeciwko niemu zostało jednak szybko wstrzymane, ponieważ mógł on być pociągnięty do odpowiedzialności z powodu tego, że domagał się kary śmierci, tylko wówczas, gdyby był wtedy świadom, iż narusza prawo i ustawę. Tej świadomości nie można było jednak Stötingowi udowodnić, podobnie jak wszystkim prawnikom, którzy wówczas brali udział w wydawaniu krwawych wyroków.

Ten adwokat z „nienaganną świadomością” był od 1962 do 1967 r. prezydentem zachodni-niemieckiego Związku Ochrony Zwierząt.

Ten dr Stöting należał, podobnie jak jego kolega Bock, do tych dziesięciu obrońców, którzy na początku procesu oprawców z Majdanku uważali berlińskiego historyka dr Wolfganga Schefflera za „zbyt stronnictwo”, aby mógł on być wystuchany jako biegły sądowy. Uzasadnienie wniosku obrońców: prof. uniwersytetu Ernst Fraenkel, u którego Scheffler zrobił swoją pracę doktorską, był Żydem.

Kiedy świadek Henrita Nitron po przerwie weszła znowu na salę, przewodniczący sądu powiedział do niej: „Wysłuchaliśmy tego, co pani wówczas przeżyła. Czy mogę teraz panią prosić, aby przesłała pani przed sędzią tutaj oskarżonymi i powiedziała nam, którego z nich pani znowu rozpoznaje?”. Pani Nitron podeszła do oskarżonych, wolno, ale bez wahania. Nikt nie mógł zdawać sobie sprawy, z jaką trwogą związane jest to rozpoznanie.

Kiedy pani Nitron podeszła do oskarżonej Hildegard Laechert odwróciła się w kierunku sędziów i powiedziała: „Niech ta tutaj wstać”. Laechert podniosła się. Kobiety stały milcząc naprzeciwko siebie. „Tak, to jest ona”, powiedziała świadek Henrita Nitron rzeczowym tonem, od którego wśród słuchających przeszedł dreszcz. „To jest Krwawa Brygida”, a ta tutaj — pani Nitron wskazywała na inną oskarżoną — „to jest Braunsteiner, która była przy „akcji dziecięcej” w 1943 roku kiedy setki niemowląt i małych dzieci wyrwano z objęć krzyżujących matek rzucono na samochód ciężarowy a potem jako specjalny transport zagazowano”.

Był to 313 dzień rozprawy. Taki sam dzień, jak każdy inny w tym procesie.

## U PRZYJACIOŁ

O Rękopis nieznaney opery filmowej „Bajka o popie i jego robotniku Baldzie” odnaleziony został w archiwach pozostałych po Dymitrze Szostakowiczu. Partyturę tego utworu badała już Zofia Chentowa, autorka czterotomowej biografii Szostakowicza. Opera napisana przez 27-letniego kompozytora była pierwszą w radzieckiej kinematografii próbą stworzenia seryjnego filmu-opery, która nie powiodła się jednak z powodu trudności technicznych. Szostakowicz podchodził z entuzjazmem do tego projektu napisał muzykę prawie w całości (26 odcińków partytury). Nawizała ona do ludowych tradycji muzycznych i rozpisana jest na różne zestawy instrumentów.

Z. Chentowa w swej monografii pisze również o innych niezrealizowanych pomysłach radzieckiego kompozytora. M. in. w latach trzydziestych Szostakowicz zamierzał napisać operę „Katusza Masłowa” opartą na motywach powieści Lwa Tolstoja „Zmartwychwstanie”. Interesowała go także jako kompozytora powieść Michaiła Szolochowa „Zaorany ugor”.

O NRD-kie wydawnictwo książek dla dzieci i młodzieży „Neues Leben” zamierza wypuścić w tym roku na polski księgarski 210 tytułów o łącznym nakładzie 6,5 mln egzemplarzy. Będą to przede wszystkim książki o tematyce związanej z narodowym festiwalem młodzieży i sukcesami organizacji młodzieżowej NRD. Wydawnictwo będzie starało się również zaspokoić zainteresowania młodych ludzi klasyczną literaturą przygodową. Wznówione zostaną np. wydania książek Londona, Dumasa i Verne’a.

### POLONICA KULTURALNE

Publikacje 40 polskich wydawnictw eksponowane były na Międzynarodowych Targach Książki w Lipsku; wśród ponad 1000 tytułów znajdowały się pozycje z różnych dziedzin, m. in. bogato była reprezentowana twórczość Jarosława Iwaszkiewicza.

W moskiewskim Muzeum Architektury otwarto wystawę pn. „Architektura polska 1918—1978”; znaczną część ekspozycji, przygotowanej przy współpracy Muzeum Architektury we Wrocławiu, stanowi około 500 fotografii ukazujących najciekawsze obiekty w Polsce.

W premierowym przedstawieniu „Nieszporów sycylijskich” Verdiego w Operze Paryskiej wziął udział Wiesław Ochman; polski śpiewak wystąpił jeszcze czterokrotnie w tym utworze.

11 pozycji polskiej literatury pięknej umieszczono w swych tegorocznych planach bułgarskie wydawnictwa; są to m. in. utwory L. Staffa, J. Iwaszkiewicza, L. Kruczkowskiego, S. Dygata, T. Parnickiego.

26 polskich artystów uczestniczy w Biennale Młodej Grafiki Współczesnej w Paryżu; prace polskich grafików zostały wysoko ocenione przez zwiedzających ekspozycję.

Na dwutygodniowym tournée przebywał w Meksyku krakowski Teatr „Cricot-2”; przedstawiono spektakl Tadeusza Kantora „Umaria klasa”.

Na Międzynarodowym Konkursie Choreografii w Bagnolet we Francji Jerzy Maria Birzyński z Krakowa zdobył wraz z zespołem „Balet form nowoczesnych” I nagrodę w kategorii twórców nieprofesjonalnych.

W czasie „Tygodnia Polskiego” w Kurytybie w Brazylii odbył się m. in. przegląd filmów fabularnych i krótkometrażowych oraz otwarto cykl wystaw.

Na aukcji zbiorów francuskiego kompozytora, Georges’a van Parsya, w Paryżu zainteresowanie wzbudziły „pamiątki chopinowskie”; nabywców znalazł list Chopina do córki George Sand-Solange oraz autograf umieszczony na wydaniu jednego z polonozów.

Cykl koncertów na Kubie dał zespół „Dwa plus jeden”; zespół nagrał też płytę oraz wystąpił w popularnych programach radiowych i telewizyjnych.

W 65 numerze organu KC KPZR, moskiewskiej „Prawydy”, ukazał się artykuł łódzkiego pisarza, Jerzego Wawrzaka pt. „Radość twórczości”. Autor prezentuje syntetyczny obraz historii miasta oraz wpisuje w dzień dzisiejszy aktualne osiągnięcia i rozwój życia kulturalnego Łodzi, przedstawia dorobek środowisk twórczych oraz ich związki z łódzką klasą robotniczą. Autor przedstawia także wielostronne aspekty współpracy, m. in. kulturalnej, między Łodzią i zaprzyjaźnionym Iwanowem.

Korespondenci pism zachodnich informują z Pekinu, że ostatnio na łamach prasy chińskiej opublikowano szereg artykułów, w których wyraża się zaniepokojenie z powodu wystąpienia ludności żądającej zapewnienia elementarnych praw i warunków życia. I tak, ukazuje się w Szanghaju gazeta „Ciefaang ży-pao”, musiała jeszcze raz potwierdzić fakty poważnych rozruchów młodzieży, które rozpoczęły się w tym największym mieście Chińskiej Republiki Ludowej już w grudniu ub. roku, i z przerwami trwają do dnia dzisiejszego. W Changdżou chłopcy i dziewczęta, wysłani w okresie „rewolucji kulturalnej” do odległych rejonów kraju i przyjeżdżający na święta w odwiedziny do rodzin, organizowali, jak informuje brytyjska gazeta „Financial Times” burzliwe demonstracje i odmówili powrotu na wieś.

Agencja France Presse poinformowała o „tysiącach chłopów, którzy z całych Chin przybyli do Pekinu, żądając sprawiedliwości”. „Zemnin ży-pao” wystąpiła z pogróżkami przeciwko robotnikom, którzy „pozostawiają swoje stanowiska pracy”, protestując przeciwko naruszeniu ich praw. W różnych formach, w tym również za pośrednictwem niekontrolowanych przez państwo tażypao, przebiega niezadowolone nastrody chińskiego z powodu agresji na Socjalistyczną Republikę Wietnamu. Wiele osób

spśród tych, które wyraziły swoje niezadowolenie, poddano represjom, do aresztów włącznie. Władze, jak wiadomo, wydały zakaz wyrażania niezadowolnienia, w jakiej by ono nie było formie, z powodu interwencji w Wietnamie, a także ostro ograniczyły możliwości kontaktów ludności z cudzoziemcami, żeby przeciwdziałać „przeciekom informacji o prawdziwym stosunku narodu chińskiego do agresji na Wietnam”.

Analizując wszystkie te przejawy wewnętrznego niezadowolnienia, większość zagranicznych komentatorów dochodzi do wniosku, że społeczno-ekonomiczna rzeczywistość ChRL zmusza masy narodowe do coraz aktywniejszych wystąpień z żądaniem położenia kresu maoistowskiemu porządkowi, brutalnej samowoli, oraz polepszenia ich sytuacji ekonomicznej. Nie jest bynajmniej przypadkiem, iż żądania te nasiliły się właśnie w ostatnich czasach, zbiegając się z początkiem ataku ChRL na Wietnam. Obserwatorzy zwracają uwagę, iż wielu Chińczykom agresja ta „otworzyła oczy na prawdziwe cele pekińskich przywódców, na kierunek ich przemysłu i polityki, zmusiła do zastanowienia się nad tym, czy przywódcy ChRL mają zamiar urzeczywistnić obietnice,

które w końcu ub. roku złożyli masom pracującym na trzecim plenum KC KPCh”.

Wtedy to, w obliczu wzrostu niezadowolnienia wśród robotników i chłopów, masowego bezrobocia, głównie wśród młodzieży, przywódcy ChRL przyrzekli narodowi „uwzględnienie jego materialnych potrzeb i interesów”, zagwarantowanie mu jego demokratycznych praw. Nie minęło jednak nawet kilka miesięcy — konstatuje „Financial Times” — jak „w Pekinie, bez zbędne-

go rozgłosu, odznaczono się do obietnic. Tym samym potwierdziło się, iż głównym celem następców Mao przy realizacji „czterech modernizacji”, jest zwiększanie wojskowo-ekonomicznego potencjału Chin, przekształcenie ich w militarną supermocarstwo, kosztem zamrażania ekonomicznego poziomu egzystencji ludności”.

Jak informuje Agencja France Presse, Ten Siao-ping występując w tych dniach w Pekinie, spróbował nawet sprezywać w tymże duchu pojęcie demokracji. W jego pojęciu, jak podaje FP, „demokracja, to możliwość wysuwania propozycji, dotyczących urzeczywistnienia czterech modernizacji”.

(„Financial Times” France Presse)



# EUROSTRATEGIA

Na konferencji w Jaltie, w lutym 1945 roku, Churchill spytał prezydenta Roosevelta: „Jak długo wasze wojska pozostaną w Europie?”. Prezydent USA odparł: „Maksimum dwa lata”. Od tego czasu minęło już 34 lata, a amerykańskie siły zbrojne nie zamierzają opuścić kontynentu europejskiego.

We wrześniu 1951 roku, w gorącym okresie „zimnej wojny” amerykańska agencja informacyjna UPI poinformowała świat: „Kongres USA wyasygnował ponad miliard dolarów na stworzenie pierścienia tajnych lotnisk w pobliżu granic Związku Radzieckiego”. Obserwator jednej z amerykańskich gazet, C Baldwin, napisał wówczas: „Zagraniczne bazy są nam potrzebne jako odskocznia dla ataku na centralne rejony Rosji”.

Stany Zjednoczone stworzyły gęstą sieć baz wojskowych praktycznie we wszystkich rejonach kuli ziemskiej. W 1949 roku, kiedy powstał Pakt Północnoatlantycki, amerykańskie bazy wojskowe znajdowały się w 39 krajach, dziś są już na terytoriach 114 krajów. Sama geografia tych baz jest wystarczająco wymowna i każdy bezstronny obserwator przyzna, że istnieje nie radzieckie, lecz amerykańskie zagrożenie świata. Wszak nie ZSRR, ale Stany Zjednoczone opasują świat pierścieniem swoich baz, wbrew oczywistym interesom międzynarodowego bezpieczeństwa. Od czasu do czasu Biały Dom, pragnąc uspokoić opinię publiczną USA i za granicą, rzuca projekty „redukcji militarnej obecności USA w innych krajach i rejonach świata”. Jednakże, z reguły odkłada je ad calendas graecas.

Jeśli chodzi o Europę, to Biały Dom nie myśli nawet o pohamowaniu aktywności Pentagonu. Wprost przeciwnie, w ub. roku zwiększono obecność wojsk amerykańskich w zachodniej Europie i podjęto decyzję o stworzeniu nowych wojskowych obiektów USA na terytoriach Luksemburga, RFN, Wielkiej Brytanii.

„Nowe rakiety powinny być rozmieszczone również poza Republiką Federalną — w krajach Beneluxu i w niektórych innych państwach” — oświadczył minister obrony RFN, Hans Apel, w czym w całej rozciągłości poparł go jego amerykański kolega, Harold Brown, minister obrony USA. Chodzi tutaj o systemy rakietowo-jądrowe, takie jak: rakiety średniego zasięgu, broń „pośrednią”, tj. nie objętą ani rozmowami w Wiedniu, ani radziecko-amerykańskimi rozmowami o ograniczeniu strategicznych broni ofensywnych oraz broń „klasy eurostrategicznej”. Ale jakby tych wszystkich broni nie nazywać, cel tych nowych NATO-wskich rojeń jest oczywisty: zdobyć militarną przewagę, trzymać na muszce wspólnotę krajów socjalistycznych, uzyskać, choćby nawet czasowy, monopol na taki lub inny rodzaj broni, żeby móc dyktować swoją wolę i wymuszać ustępstwa polityczne. Jednocześnie ideolodzy polityki „jastrzębi” próbują sugerować, iż wysięg zbrojeń prowadzi nie do katastrofy jądrowej, lecz do stolów konferencyjnych.

Kraje naszego obozu, należące do Układu Warszawskiego, zaproponowały państwom NATO rozpoczęcie rozmów w sprawie wzajemnego ograniczenia i redukcji tych komponentów potencjałów militarnych, które wzbudzają obecnie niepokój i niepewność. Przypominamy, iż propozycję tę przedłożyły kraje członkowskie Układu Warszawskiego przed spotkaniem przywódców: USA, RFN, Anglii i Francji na Gwadelupie. Jednakże NATO nie zajęło dotąd stanowiska w tej sprawie i na-

dal szpikuje zachodnią Europę amerykańskimi rakietami. Jest oczywiście, iż bynajmniej nie zwiększy to „pozycji siły krajów NATO” wobec krajów socjalistycznych, lecz doprowadzi jedynie do usztywnienia stanowisk w Europie i zwiększy napięcie.

W USA nie pytano nawet, czy w krajach członkowskich NATO znajdują się ochotnicy do rozmieszczenia na terytoriach swoich krajów nowych amerykańskich systemów rakietowych. Minister obrony USA, H. Brown, jak informowała o tym

## NATO

swego czasu prasa zachodnia, „nie jest wcale zachwycony wkładem Europy na rzecz NATO”, chociaż udaje mu się, jak powiedział, „przynajmniej do pewnego ożywienia działalności bloku”. Jeśli beztroscy Europejczycy z zachodniej Europy nie myślą o swoim bezpieczeństwie, to musieli się o nich zatroszczyć Pentagon. I Waszyngton zadecydował sam... W ślad za tym nastąpiła ofensywa od razu z dwóch kierunków: z Brukseli i z Waszyngtonu. I tak, w lutym tego roku, zachodniemiecka gazeta „Die Welt” opublikowała na najbardziej widocznym miejscu informację ze sztabu NATO: „Radzieckie rakiety SS 20 są wycelowane wyłącznie w obiekty w Republice Federalnej”. I żeby uprze-

dzić ewentualne pytania, skąd miałyby wie o tym gazeta, redakcja od razu wyjaśniła: „Sztab NATO w Brukseli dowiedział się o tym ze źródeł amerykańskich”.

Dla bardziej sceptycznie nastawionych czytelników, którzy nie wierzą w „sowieckie zagrożenie”, „Die Welt” przygotowała wariant łatwiejszy do strawienia: „Mówi się, że te rakiety Moskwa może wykorzystać także dla celów politycznych: niech choćby izoluje w pewnej chwili Bonn od jego partnerów z NATO, albo znacznie go tą bronią szantażować”.

Niemal w tym samym czasie spotkali się w RFN: głównodowodzący siłami NATO w Europie, A. Haig i David Aaron, zastępca Z. Brzeźńskiego. Haig oświadczył publicznie, iż modernizacja broni jądrowej jest niezbędna „dla strategii odstraszania na wszystkich szczeblach”. D. Aaron oświadczył na ten temat nie składając, ale cel jego misji w Bonn nie stanowił tajemnicy nawet przy zamkniętych drzwiach prowadzonych rozmów. „Istnieje niebezpieczeństwo — pisała w związku z tym gazeta „Westdeutsche Allgemeine Zeitung”, że Republika Federalna może stać się jedynym krajem, na którego terytorium zostaną rozmieszczone nowe systemy broni jądrowej, ze wszystkimi negatywnymi następstwami wypływającymi z tego faktu...” Otóż to.

W wojskowym budżecie USA na 1980 rok — pisze radziecki komentator polityczny, W. Kuzmeczow — figuruje pozycja wydatków na sumę 350 milionów dolarów. Środki te są przeznaczone na przyspieszenie procesów tworzenia nowych typów broni, przeznaczonych do ewentualnego rozmieszczenia na terytorium zachodniej Europy. Chodzi tutaj głównie o skrzydlate rakiety wyrzeliwane z lądu i z morza, rakiety „Pershing” o zwiększonym zasięgu oraz balistyczne rakiety średniego zasięgu. Broń ta ma wypełnić, jak głosią oświadczenia, „rakiętową próżnię”, powstałą rzekomo w systemie „obrony” NATO. I znowu głosi się wszem i wobec, iż Pentagon zamierza „tylko odtworzyć równowagę w potencjałach jądrowych na europejskim kontynencie”.

Nawet zupełnym dyletantom wiadomo, iż w latach powojennych, nie w ZSRR pojawiła się pierwsza bomba atomowa i pierwsza bomba

neutronowa. Ale słuchając tych lamentów kół, które usprawiedliwiają i forsują wysięg zbrojeń na Zachodzie, można by naiwnie sądzić, iż na przestrzeni tych wszystkich powojennych lat Pentagon i NATO nie robiły nic innego, tylko stale „doganiały” Związek Radziecki i „przewyżczały” przeróżne „opóźnienia” i „luki”. Była więc „luka” w czołgach, była „luka” w bombowcach, była „luka” w marynarce wojennej. Za każdym razem okazywało się jednak, że takich lub innych rodzajów broni w USA i NATO było bynajmniej nie mniej, niż w ZSRR. Luki istniały, i istnieją nadal, ale nie w poziomie sił zbrojeń Wschodu i Zachodu, lecz w polityce ideologicznej kół wojskowo-przemysłowych świata zachodniego, którym jest wygodniej głosić, że jakoby „przeciwnik wyrwał się do przodu” i pod tym pretekstem rozkręcać spiralę zbrojeń.

Teraz, w Pentagonie i w NATO wykryto „nową lukę”: w broni rakietowo-jądrowej średniego zasięgu. Tutaj znowu straszy wojskowy ekspert zachodniemieckiego bloku opozycji CDU/CSU, Manfred Wörner, „niemal totalną przewagą Moskwę”. Metoda, do której ucieka się ów działacz polityczny RFN dawno już została zaaprobowana w Pentagonie i NATO: przy bilansie cudzych sił popuszcza się wodzów fantazji, zaś przy sumowaniu własnych — popada się w beznadziejną amnezię. Należy więc przypomnieć, iż Pentagon utrzymuje w zachodniej Europie 7 tysięcy głowic jądrowych i 3 tysiące środków ich przenoszenia. Na pokładach okrętów floty atlantyckiej USA znajduje się dodatkowo 1.000 jednostek taktycznej broni jądrowej. Do tego wszystkiego należy jeszcze dodać uderzeniowe siły jądrowe innych krajów NATO.

Stanowisko państw socjalistycznych co do problemów odprężenia militarnego jest jasne i niedwuznaczne. radykalne w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie ma takiego rodzaju zbrojeń, których by kraje naszego obozu nie były gotowe ograniczyć lub zredukować. Ale, oczywiście, na podstawie ścisłego przestrzegania zasady pełnej równowagi, bez asymetryzmu dla bezpieczeństwa obu stron.

JERZY CZECH

## PRZED „DNIAMI KULTURY POLSKIEJ” W ZSRR

terstwo z narodem radzieckim”. 10-dniowy pokaz będzie największą z przewidywanych na ten rok zagranicznych prezentacji dorobku Polski w różnych dziedzinach sztuki. Widzowie i słuchacze w dziesiątkach miast Kraju Rad poznają nie tylko nasz najnowszy dorobek, lecz również dzieła twórców z dawnych epok, zwłaszcza z dziedziny malarstwa, muzyki, dramaturgii. W ten sposób zostanie podkreślona ciągłość tradycji polskiej kultury, związek między jej dniami dzisiejszymi i najwartościowszym dziedzictwem przeszłości.

Zaszczyt reprezentowania socjalistycznej kultury Polski Ludowej na estradach koncertowych i scenach teatralnych, w salach wystawowych i na ekranach kin, będzie udziałem najlepszych jej przedstawicieli. Wystąpią zespoły muzyczne i teatralne, folklorystyczne i estradowe, dyrygenci i soliści, pokazane będą dzieła sztuki, filmy, ekspozycje z dziedziny edytorstwa — wszystko to, co składa się na obraz życia kulturalnego naszego kraju.

Miarą bogactwa i różnorodności programu „Dni” będzie inauguracyjny koncert, który zgrupował na scenie największej sali widowiskowej stolicy Kraju Rad — Pałacu Zjazdów kilkuset wykonawców, uprawiających wiele form i gatunków twórczości muzycznej. Wystąpią zespoły o tak zróżnicowanym charakterze, jak „Śląsk” i filharmonia krakowska, „Gawęda” i Polski Teatr Tańca, Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej i chór Politechniki Szczecińskiej, Collegium Musicorum Poznańskie, czołowi artyści sceny, ekranu i estrady. Nieczęsto się zdarza, aby jednocześnie stanęli na estradzie Gustaw Holoubek i Czesław Niemien, Konstanty Andrzej Kulka i Maryla Rodowicz, Tadeusz Lomnicki i Anna German, Krystian Zimerman i Zdzisław Sońka. Strofy poezji Mickiewicza przeplatane będą z muzyką Pendereckiego, wiersze Gałczyńskiego z mazurem Moniuszki, ludowe pieśni i tańce z projekcją filmową.

Z polskimi wykonawcami spotkają się na moskiewskiej estradzie artyści radzieccy — członkowie Zespołu Tańca Ludowego „Rossija”. Będzie to jeszcze jeden symbol serdecznych więzów przyjaźni łączących ludzi sztuki Polski i Kraju Rad.

Niektóre, uczestniczące w „Kantacie polskiej”, zespoły usłyszą też mieszkańcy innych miast ZSRR. Orkiestra i chór Filharmonii Krakowskiej dadzą cykl koncertów w Moskwie a następnie w Leningradzie i Tallinie, „Śląsk” wystąpi również z własnym programem w stołecznym Kraju Rad, a także w Kijowie. Ponadto na scenach Moskwy i Mińska warszawski Teatr Współczesny zaprezentuje „Pana Jowialskiego” Fredry i „Największą świętość” Iona Truce. Leningrad odwiedzi Teatr Lalki i Aktora „Miniatura” z Gdańska, orkiestra Filharmonii Poznańskiej koncertować będzie w Wilnie.

Udział w „Dniach kultury polskiej” w ZSRR będzie dla wielu naszych artystów kolejną okazją spotkania się z radziecką publicznością, odnowienia dawnej zawartej przyjaźni.

— Podwołiliśmy ostatnio ilość prób i ćwiczeń, aby na scenach Moskwy i Kijowa zaprezentować w pełni możliwości zespołu i nie zawieść oczekiwań radzieckiej publiczności — mówi choreograf zespołu „Śląsk”, Elwira Kamińska. — Właśnie z myślą o tej publiczności opracowujemy m.in. pieśni i tańce ludowe z różnych rejonów Kraju Rad, wykonywane w oryginalnym języku i w oryginalnych strojach.

Nie musimy zaznaczać, jak bardzo cenimy sobie spotkania z radzieckimi widzami, którzy są nam bliżej od początków działalności zespołu. Właśnie do ZSRR udaliśmy się na pierwsze zagraniczne tournée, które spotkało się z bardzo gorącym przyjęciem. W ciągu lat, jakie od tamtej pory minęły, nawiązaliśmy kontakty z radzieckimi zespołami, m.in. — Aleksandrowa, Moisiejewa, z „Bieriozka”. Teraz odwiedzimy naszych przyjaciół po raz jedenasty.

Dyrektor Filharmonii Krakowskiej — Jerzy Katlewicz powiedział: — Z możliwości reprezentowania polskiej muzyki w ZSRR cieszymy się z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że zaszczyt ten przypadł nam w udział w roku 35-lecia Polski Ludowej i podobnego jubileuszu naszego zespołu, pierwszej filharmonii, jaka powstała w kraju po drugiej wojnie światowej. Ponadto, zarówno zespół Filharmonii Krakowskiej, jak i ja osobiście znamy radziecką publiczność i cieszy nas perspektywa ponownego spotkania z tak znakomitymi słuchaczami. Sprawa nam również bardzo faktu, że utwory Chopina, Moniuszki, Szymanowskiego, Pendereckiego i innych wybitnych kompozytorów wykonywać będziemy nie tylko w programie koncertu inauguracyjnego.

lecz również podczas koncertów w Moskwie Tallinie i Leningradzie.

Przygotowujemy dla radzieckich widzów oratorium „Zagracie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony”, którym zamknijemy „Dni kultury polskiej” w ZSRR — informuje dyrektor Centralnego Zespołu Artystycznego WP, płk Jan Mika. W Kraju Rad występowaliśmy wielokrotnie, zaś tym razem czujemy się zaszczytami, wykonawców finałowego koncertu. Pragniemy też spotkać się z naszymi przyjaciółmi, zwłaszcza z Zespołem im. Aleksandrowa.

Nie tylko spektakle i koncerty wypełnią program wielkiego festiwalu polskiej sztuki w Kraju Rad. Nie mniej bogatym nurtem będą liczne ekspozycje poświęcone różnym dyscyplinom twórczym. Największą spośród przygotowanych wystaw będzie „Sztuka realizmu w Polsce — tradycja i współczesność”. W centralnej sali wystawowej — w moskiewskim Maneżu zaprezentuje się 250 dzieł malarstka, rzeźb i tkanin, ukazujących dorobek polskich realistów — od Renesansu do dnia dzisiejszego. Ekspozycja pochodzi z blisko 20 naszych placówek. Ekspozowane będą dzieła o takiej wartości historycznej i artystycznej, jak arcywawelskie, płótna Canaletta, Bacciarellego, Aleksandra i Maksymiliana Gierymskich, Henryka Rodakowskiego, Piotra Michalskiego, Leona Wyczółkowskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Tadeusza Pruszkowskiego, Michała Bylina, czołowych twórców współczesnych. Wśród rzeźb znajdą się ekspozycje z Zamku Królewskiego w Warszawie, prace Xawerego Dunikowskiego, Alfonsa Karnego, Gustawa Zemly. W maju wystawa zostanie przewieziona do leningradzkiego Ermitażu. W najbliższym czasie mieszkańcy Leningradu obejrzą wystawę polskiego plakatu społeczno-politycznego i „Malowanego fajansu wrocławskiego”; otwarta zostanie też ekspozycja pn. „Kraj Rad w plakacie polskim”, sztuki zdobniczej i in.

Odmienne charakter będą miały wystawy ukazujące nasze osiągnięcia w dziedzinie edytorstwa. Jedną z nich zapozna ogólnie z ruchem wydawniczym w Polsce, druga nosić będzie nazwę „Polska ilustracja książkowa dla dzieci i młodzieży”.

Nie zabraknie także spotkań radzieckich widzów z polskim filmem. Na program przeglądu złożą się cykle pozycji fabularnych i krótkometrażowych, a wśród nich: „Do krwi ostatniej”, „Znaki szczególne”, „Noce i dnie”, „Hubal”, „Wesele”, „Perła w koronie”, „Celuloza”

ODGŁOSY 7





Ile w życiu człowieka może znaczyć przy-  
padek. Gdyby Władysław nie spotkał tamtej  
dziewczyny, może jego życie potoczyłoby się  
inaczej. Chciał zostać dziennikarzem. Wybie-  
rał się na studia polonistyczne, ale właśnie  
dziewczyna przekonała go, że robi lepiej,  
jeśli zdecyduje się studiować historię. Dzien-  
nikarzem można zostać i po ukończeniu hi-  
storii. Zaprosiła na zebranie koła historyków  
Uniwersytetu Wileńskiego. I tak się wszystko  
zaczęło. A później zainteresował się nim pro-  
fesor Stanisław Zajączkowski.

**FRANCISZEK** Bortnowski wyruszył na wojnę ro-  
syjsko-japońską z Grodna. a kiedy wojna się skoń-  
czyła, nie wrócił zrazu do Grodna. Osiadł w Kisio-  
wodsku.

**LUCJUSZ  
WŁODKOWSKI**

# HISTORIA W ŻYCIORYSIE

włodsku na Kaukazie. Tam, wraz z kilkoma ludźmi  
interesu zaożył niewielkie przedsiębiorstwo zajmu-  
jące się eksploatacją pływko położonych pokładów  
węglu. Przedsiębiorstwo prosperowało nieźle i próbo-  
wano konkurować z węgiem donbaskim. W Kisio-  
wodsku przyszedł na świat jedyny syn Bortnowskich  
— Władysław. Urodził się 21 lipca 1913 roku.

Bortnowscy przeżyli w Kisłowodsku pierwszą woj-  
nę światową i rewolucję. Władysław niewiele pamię-  
ta z tamtych czasów. Rejon Kisłowodzka, Mineral-  
nych Wód, Piatigorska i położonych dalej — Nalczi-  
ka, Groznego, Mozdoka był miejscem walk tocz-  
onych przez Armię Czerwoną Północnego Kaukazu z  
Wojskami generała Antoniego Denikina. Pola nafto-  
we Baku i żyzne rejony Kubania miały ogromne  
znaczenie dla młodej republiki radzieckiej, więc i  
walki toczyły się tu zacięte. Kisłowodzsk został ostatec-  
nie zajęty przez armię radziecką 23 marca 1920  
roku. Do tej pory władzę zmieniała się często. Wład-  
ysław dobrze zapamiętał te ciągłe zmiany wojska,  
że raz przychodzili czerwoni, raz biali, że strzelano  
z armat i karabinów i wtedy wszyscy chowali się  
do piwnicy.

W 1922 roku wrócili do Grodna. Władysław Bor-  
tnowski miał wtedy 9 lat i również dobrze znał je-  
zyk polski jak i rosyjski. Taką umiejętność w ów-  
czesnej Polsce nie stanowiła czegoś nadzwyczajnego.  
Nikt jednak nie przypuszczał, że znajomość języka  
rosyjskiego zadecyduje kiedyś o dalszym losie ówce-  
snego ucznia jednej z grodzieńskich szkół. Rodzice  
przenieśli się do Grodzka koło Będzina, gdzie Fran-  
ciszek Bortnowski otrzymał pracę w kopalni, ale  
Władysław został u ciotki w Grodnie, która otoczyła  
go troskliwą, niemal cieplarnianą opieką.

Maturę zdał w 1932 roku i wtedy to właśnie spot-  
kał ową dziewczynę, która namówiła go na studia  
historyczne. Pilnie studiował. W 1933 roku musiał je-  
dnak przerwać studia. Został urzędnikiem skarbo-  
wym w Wilnie. Z Grodzka nadeszła bowiem smutna  
wiadomość. Ojciec został zwolniony z pracy krótko  
przed emeryturą. Postanowił jednak dochodzić swoich  
emerytalnych praw drogą sądową. Ale na to trzeba  
było czasu, a rodzice — byli bez środków do życia.  
Trzeba było im pomóc, zapewnić utrzymanie.

Proces trwał dwa lata. Zakończył się pomyślnie  
dla Franciszka Bortnowskiego i Władysław wrócił  
do przerwanych studiów na Wydziale Humanistycz-  
nym Uniwersytetu Wileńskiego. Zetknął się wtedy z  
profesorem Stanisławem Zajączkowskim, który wpłynął  
na zmianę życiowej decyzji.

— Długo jeszcze myślałem — opowiada Wład-  
ysław Bortnowski — że jednak zostanę dziennikarzem,  
ale nigdy nie przychodziło mi do głowy, że będę  
zajmował się pracą naukową.

Jako student podjął pracę w Urzędzie Konserwa-  
torskim w Wilnie. Głębiej poznał historię miasta.  
Jego pierwsze publikacje, które ukazały się na la-  
mach „Ateneum Wileńskiego” i tamtejszych gazet  
dotyczyły przeszłości Wilna.

Na rok przed wybuchem wojny otrzymał dyplom  
magistra filozofii z zakresu historii. Pracę magister-  
ską pisał o profesora Stanisława Zajączkowskiego.  
Przedstawił w niej arcybiskupa Jakuba Świnka jako  
obroncę polskości przed zakusami duchowieństwa  
niemieckiego. Praca zyskała dobrą ocenę, a jej autor  
został młodszym asystentem w Gabinetie Nauk Po-  
mocnych Uniwersytetu Wileńskiego i tak znalazł  
się pod bezpośrednią opieką profesora Stanisława Za-  
jączkowskiego.

**WYBUCH** wojny we wrześniu 1939 roku na wiele  
lat przerwał karierę naukową młodego historyka,  
który ciągle jeszcze nie wiedział, czy zostanie dzien-  
nikarzem czy naukowcem.

Po utworzeniu Środkowej Litwy pod koniec 1920  
roku przez gen. Lucjana Żeligowskiego, który na roz-  
kaz Józefa Piłsudskiego „zbuntował się” przeciw nie-  
mu i zajął Wilno, stosunki między Polską a Litwą  
nie należały do przyjaznych. Wprawdzie w 1938 ro-  
ku pod groźbą konfliktu zbrojnego z Polską, Litwa  
zgodziła się na nawiazanie stosunków dyplomatycz-  
nych i uznała aneksję Wilna z 1922 roku kiedy to  
Polska na prośbę Sejmiku Wileńskiego wciągnęła Wilno  
w obręb swoich granic. Ale to niewiele pomogło. Po  
zajęciu Wilna prohitlerowsko i nacjonalistycznie na-  
stawione władze smętowskiej Litwy brały odwet  
na Polakach. W grudniu 1939 roku zamknięto Uni-  
wersytet im. Stefana Batorego w Wilnie i przekształ-  
cono w litewską uczelnię. Władysław Bortnowski  
przeniósł się do Olity gdzie został robotnikiem.

21 lipca 1940 roku Litwa stała się Socjalistyczną  
Republiką Rad a 3 sierpnia 1940 roku weszła w skład  
Związku Radzieckiego. Zmienił się też i los Wład-  
ysława Bortnowskiego. Został buchalterem w „Wojen-  
torgu” — wojskowym przedsiębiorstwie handlowym.  
21 czerwca 1941 roku, kiedy Niemcy zaatakowały  
Związek Radziecki, nie zdążył się ewakuować. Nie-

miećkie czołgi były w Olicie już 22 czerwca. Rodzice  
przebywali w Kaliszu, ale wędrować do Kalisza przez  
okupowaną Polskę nie było zbyt bezpiecznie. Został  
na Litwie, pracując trochę jako robotnik, a trochę  
pomagając w prowadzeniu gospodarstwa na wsi.

Wojska radzieckie wyzwoliły Wilno 13 lipca 1944  
roku. Władysław Bortnowski wrócił do miasta. W  
Wilnie spotkał doktora Jerzego Sztachelskiego — o-  
ficera i dywizji im. Tadeusza Kościuszki, późniejszego  
wojewodę białostockiego, a także ministra apro-  
wizacji i wieloletniego ministra zdrowia, posła na  
Sejm PRL. Wówczas dr Sztachelski wybrał się do  
Białegostoku, aby objąć stanowisko wojewody i che-  
tnie widziałby Bortnowskiego u siebie. Pracy nie za-  
braknie.

**ŚLYSZAŁEM** — wspomina Władysław Bortnowski  
— że w wojsku polskim byli oficerowie polityczno-  
wychowawczy i uważałem, że byłbym w takiej służ-  
bie przydatny. Zgodziłem się więc na propozycję  
Sztachelskiego, ale zastrzegłem od razu, że chcę je-  
chać do szkoły oficerskiej. Sztachelski dał mi kartkę,  
dzięki której mogłem zabrać się transportem wojsko-  
wym do Białegostoku. Z Białegostoku samolotem do-

stałem się do Lublina i zgłosiłem się do RKU z  
prośbą o skierowanie mnie do szkoły oficerów poli-  
tyczno-wychowawczych.

Szkoła oficerów polityczno-wychowawczych dopie-  
ro się formowała, zajmując baraki byłego obozu na  
Majdanku. Dopiero we wrześniu 1944 roku podcho-  
razowie przenieśli się do budynków przy Alejach  
Racławickich. Pod koniec roku kilku podchorążych  
wezwało do Głównego Zarządu Politycznego WP,  
gdzie rozmowy z nimi prowadził kpt. Adam Korta i  
płk Mieczysław Wągrowski. Władysław Bortnowski  
zawierzył się ze swoich marzeń o dziennikarstwie.  
Skierowano go do pracy w małej drukarni polowej,  
gdzie miał nadzorować terminowość i korektę dru-  
ków wojskowych. Pracując już w GZP złożył egzamin  
oficerski z trzecią lokatą i otrzymał stopień podporu-  
cznika.

Gdy zaczęła się ofensywa styczniowa, otrzymał de-  
legację na tereny wyzwolane. Trasa wiodła przez  
Zduńską Wolę, Kalisz, do Poznania. W Kaliszu spot-  
kał się z rodziną i zorganizował wiec ludności. W  
wiele lat później profesor Mieczysław Tanty opowie-  
dzał mu, że pamięta, jak ówczesny podporucznik  
Bortnowski przemawiał na pierwszym wiecu ludności  
Kalisza. W Poznaniu trwały walki o Cytadellę.  
Mimo to zorganizowano kilka spotkań z ludnością.  
Na początku marca 1945 roku wrócił do GZP Wojska  
Polskiego, które rozlokowane było już we Włoszech  
pod Warszawą.

**W ŁODZI** mamy dużą drukarnię — powiedział płk  
Mieczysław Wągrowski. — Trzeba się tą drukarnią  
zająć. Pojedziecie do Łodzi.

Do Łodzi przyjechali we trójkę, razem z kpt. Leo-  
nem Grosfeldem i kpt. Tadeuszem Ładogórskim —  
dziś profesorem jednej z wrocławskich uczelni. Dru-  
karnia mieściła się przy ulicy Piotrkowskiej, tam,  
gdzie dziś znajduje się budynek mieszczący salę  
obrad Rady Narodowej m. Łodzi. W 1948 roku prze-  
niesiono drukarnię z ulicy Piotrkowskiej na ulicę  
Gdańską. Był najpierw kierownikiem, a później dy-  
rektorem drukarni. Po połączeniu Wojskowego In-  
stitutu Naukowo-Wydawniczego z Prasą Wojskową  
major mgr Władysław Bortnowski został redaktorem  
działu historycznego w Prasie Wojskowej. Zainował  
się wydawaniem popularnych broszur z historii Pol-  
ski, sam też niekiedy w nich napisał.

Już wydawało się, że spełniał się marzenie o dzien-  
nikarstwie, gdyż został stałym współpracownikiem  
„Polski Zbrojnej”. Ciągnęło go jednak do pracy nau-  
kowej. Publikował w „Bellonie” artykuły o konce-  
pcjach obronnych z czasów pierwszych Piastów i o  
przeprawach wojsk Władysława Jagiełły przed bitwą  
pod Grunwaldem. W Łodzi od 1946 roku przebywał  
profesor Stanisław Zajączkowski. Zachęcał do pracy  
naukowej. Władysław Bortnowski zdobył u władz  
wojskowych zezwolenie na pracę na Uniwersytecie  
Łódzkim i został starszym asystentem w katedrze  
prowadzonej przez profesora Zajączkowskiego. W  
1950 roku zezwolenie jednak cofnięto. Nie zrezygno-  
wał mimo to z pracy naukowej. W dwa lata póź-  
niej przeszedł do rezerwy i od stycznia 1953 roku  
podjął pracę na Uniwersytecie Łódzkim jako adiunkt  
w katedrze profesora Józefa Dutkiewicza. Jeszcze w  
wojsku Władysław Bortnowski był odznaczony Krzy-  
żem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Profesor Józef Dutkiewicz swoje zainteresowania  
naukowe skupiał wokół dziejów powstania listopad-  
owego niektórych problemów historii powszechnej  
XIX i XX wieku oraz wokół historii historiografii.  
Był wybitnym znawcą dziejów powstania listopado-  
wego. Nie więc dziwnego, że i tą problematyką zain-  
teresował się młody współpracownik profesora Dut-  
kiewicza. W 1958 roku obronił pracę doktorską pt.  
Walka o cele powstania listopadowego. Nikt nie  
wątpił że dzieje powstania listopadowego będą też  
przedmiotem pracy habilitacyjnej. Ale tutaj nieocze-  
kiwanie dała o sobie znać dobra znajomość języka  
rosyjskiego. W 1960 roku Władysław Bortnowski wy-  
jechał do Moskwy i Leningradu na sześciomiesięczny  
staż naukowy. W tamtejszych archiwach odszukał  
różne opinie Rosjan o powstaniu listopadowym. Wy-  
nikiem tej penetracji była rozprawa habilitacyjna pt.  
„Powstanie listopadowe w oczach Rosjan”. Był to  
już rok 1964.

**I WTEDY** jeszcze raz na życiowej drodze Wład-  
ysława Bortnowskiego zaważyła znajomość języka ro-  
syjskiego. Od 1956 roku istniała w UL katedra hi-  
storii ZSRR. Jednak wykłady prowadził: ludzie zaj-  
mujący się na ogół innymi problemami. Trzeba było  
obsadzić katedrę kimś kto na trwałe zainteresował-  
by się historią ZSRR. Profesor Gryzelda Missalowa  
wysunęła kandydaturę docenta Bortnowskiego, moty-  
wując to doskonałą znajomością rosyjskiego, jak też  
kształtującymi się zainteresowaniami historią ZSRR.  
I tak w 1964 roku otrzymał katedrę, którą prowa-  
dził do dziś.

W maju 1973 roku otrzymał tytuł profesora nad-  
zwyczajnego nauk humanistycznych. Jest członkiem  
komisji naukowych: Komisji Historii Wielkiej Re-  
wolucji Październikowej, Polsko-Radzieckiej Komisji  
Historycznej, Komisji Historii Wojska przy Komitecie  
Nauk Historycznych PAN, członkiem rady naukowej  
Instytutu Krajoznawstwa PAN, członkiem  
komitetu redakcyjnego „Wojskowego Przeglądu Hi-  
storycznego”, wykładowcą WUML, Centrum Szkolenia  
Oficerów Politycznych w Łodzi i Ośrodka Szkolenia  
Kadr Kierowniczych MSW wiceprzewodniczącym Za-  
rządu TPP-R. W 1975 roku został odznaczony Krzy-  
żem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

**PODCZAS** 40 lat pracy naukowej profesor Wład-  
ysław Bortnowski wychował 60 magistrów i 6 doktor-  
ów. Wydał dziesięć książek, napisał setki artykułów,  
między innymi również w „Dzienniku Łódzkim”,  
„Głosie Robotniczym” i „Odgłosach”, gdyż nieustan-  
nie odzywał się w nim dawne dziennikarskie cią-  
goty.

— Dzieje powstania listopadowego wiążą się z hi-  
storią Rosji XIX wieku — mówi profesor. — Ale  
mnie bardziej interesowały czasy późniejsze. Moja

książka „Ziemia Łódzka w ogniu”, choć ma tytuł  
sugerujący omówienie spraw polskich, dotyczy histo-  
rii Rosji z okresu pierwszej wojny światowej. Opi-  
sałem w niej dzieje wielkiej bitwy pod Łodzią.  
„Powstanie grudniowe w Moskwie”, czy w „Pierście-  
niu blokady”, dotyczą już najnowszej historii Związ-  
ku Radzieckiego. Ale proszę nie myśleć, że całkowi-  
cie zerwałem z dawnymi zainteresowaniami historią  
Rosji XIX wieku. Jest już w wydawnictwie książka,  
która będzie nosiła tytuł: „Wielki Książę Konstanty  
i Joanna Grudzińska”, a w której chcę podważyć  
utarte opinie na temat Wielkiego Księcia. 1 czerwca  
1979 roku składam książkę pt. „Noc listopadowa”.

Jestem też autorem książki, która jakby odbiegała  
od zakresu moich zainteresowań. Myślę tu o „Na  
tropach łódzkiego września”. Ale wynika ona raczej  
z mego temperamentu, gdyż przy lekturze wspomi-  
nień dowódcy Armii „Łódź” gen. J. Rómmla nie  
mogłem zgodzić się z niektórymi jego poglądami.  
Stąd i publikacja, którą próbuję podważyć pewne  
dotychczasowe mniemania na temat walk w okolicy  
Łodzi we wrześniu 1939 roku.

— Fakty — mówi dalej profesor Bortnow-  
ski — są rzeczą niezaprzeczalną i historyk  
nie może faktów omijać nawet wtedy, gdy  
są one nieprzyjemne, czy z tych czy innych  
powodów drażliwe. Historyk nie może uchyl-  
ić się od interpretacji faktów, od pokazania  
warunków, w jakich te fakty przebiegały.  
Moją postawą historyczną jest właśnie poka-  
zywanie faktów, na możliwie szerokim tle.  
Uważam, że każde pokolenie ma swoją wi-  
zję historii, ale wizja ta nie może rozmiąć się  
z faktami, a nasza wiedza, możliwość pozna-  
wania coraz to nowych faktów historycznych  
stale się powiększa, stąd i coraz to nowe po-  
kolenia historyków będą te same zdarzenia  
pokazywały w coraz bogatszym kontekście  
faktów, w coraz szerszym ich uwarunkowa-  
niu i będą coraz pełniej je interpretowały.



Foto: R. Łucyszyn

Rys. Janusz Szymański-Glanc



Mówiąc o sobie nie przebiegają w słowach. „Młot” jednoznacznie określa studenta politechniki, a „chłopski filozof” to ten z uniwersytetu. Mianem „mechanicznych krów” częściej się te z dziewczyn, którym zachciało się techniki, zaś pojęcie „uniwersytetek” jest nieodłącznie związane z ich koleżankami z uczelni nietechnicznych.

Piszą o tych sprawach już spokojnie, są bardziej ugrzecznieni. Siegają nawet po argumenty: „studenci z politechniki mówią „cus”, nie można z nimi w ogóle rozmawiać...” albo: „te dziewczyny nie umieją się ubrać ani umalować. Wyglądają okropnie...” A że posiadli umiejętność logicznego rozumowania, wyprowadzają stąd oczywisty wniosek: dziewczyny z politechniki też są głupsze. A z drugiej strony jak takie zniewagi darować. Sypią się więc epitety z obu stron, a w studenckiej mentalności wykształcił się obraz swoistych państw w państwie — i prawie tyle tych państw, ile uczelni...

W ukształtowaniu takiej mentalności swój udział mają także niektórzy wykładowcy i asystenci owych „zwalczających się” uczelni. Z jednej strony bowiem znaczna grupa pracowników naukowych uniwersytetu jawnie demonstruje swą niechęć, a nawet lekceważenie „technokratów”, nie znających wysublimowanych tajemników kultury. Jednocześnie zaś wśród ich kolegów po fachu na uczelniach technicznych jakże często neguje się potrzebę jakichkolwiek zainteresowań kulturalnych u przyszłych inżynierów. Najdobitniejszym wyrazem takich szkodliwych poglądów są publiczne enuncjacje rektora jednej z naszych politechnik, który twierdzi, że dla inżynierów najważniejsze jest opowywanie ściśle specjalistycznej problematyki technicznej, „... a nie łatwości zapamiętywania, co też napisał był ongiś znany lub mniej znany poeta. Niech sobie pisze — my mamy obwoływać, to jest nasz świat i nasz chleb, którego on nigdy nie ugryzie...” Jeśli do tego owi rektor dodaje jeszcze, że o poziom kulturalny studentów obecnych i przyszłych — „... niech się martwią poloniści...”, a inżynier nie potrzebuje nawet czytać gazet i oglądać telewizji — to mamy oto wspaniały przykład lekceważenia spraw „pachnących” humanizmem przez środowisko techniczne, a co za tym idzie — przykład podsyłania wspomnianych wyżej antagonizmów. Nie więc dziwnego, że co pewien czas wybuchają od nowa na łamach prasy dyskusje na temat rzekomej wyższości inżynierów nad humanistami, czy też na odwrót. Dyskusje pozbawione jakiegokolwiek sensu, nie dające nic oprócz ukazania absolutnej ignorancji zacietrzewionych przeciwników, przynoszące tyle strat ludzkich nerwów oraz cennego papieru...

Nazwał ktoś swego czasu ów spór między humanistami a technikami monachomachią godną ambony parafialnego kościółka. I to jest chyba najtrafniejsze ujęcie. A w każdym razie na tyle trafne, że aż się prosi, aby nim skwitować całe to zjawisko. Najwyczerpięj zostawić te sprawy każdemu z osobna i czekać aż poszczególne delikwenty zmadrzeją. Zmadrzeją na tyle, aby w pewnej chwili mogli spojrzeć, że ich spór co najwyżej bawi i śmieszy tych, którzy jeszcze nie zrozumieli jego bezsensu. Zaś sam problem podejmować będą jedynie wyjątki — jako się rzekło raczej zbłąkane owce...

Z takimi przekonaniami pozostałbym pewnie do śmierci, gdyby nie coraz częstsze ostatnio konfrontacje zwaśnionych uczelni na nawię sportowej czy kulturalnej, a przede wszystkim — turnieje typu Uniwersytet — Politechnika... Po każdej z takich imprez wybuchają wśród pokonanych pełne żalu dyskusje, napływają do redakcji różnych pism studenckich i młodzieżowych nowe listy, a nawet artykuły o wymowie, osławionej monachomachii. Tragiczne w swym zacietrzewieniu, przeszycone już nie dewiną, ale nienawiścią. Jest to tak uderzające, że pomijając wszelkie znane mi interpretacje przyczyn tak wielkiej żywotności owego sporu między humanistami a technikami, postanowiłem na nowo przemysleć te sprawy. A ponieważ potrzebny mi do tego wizerunek duszy „humanisty” sięgnąłem do wypowiedzi i listów studentów tych właśnie kierunków studiów, które naznaczone są piętnem humanizmu...

Szczególnej satysfakcji doznałem analizując wypowiedzi dotyczące sytuacji w zatrudnieniu absolwentów wyższych uczelni. Otóż w materiałach te-

go typu jak sztyło z worka wyszły sformułowania z podtekstu których można wyczytać, co podsyca — jeśli w ogóle nie warunkuje — idiotyczną kłótnię humanistów z technikami. Źródłem ich jest przede wszystkim z dnia na dzień postępująca degradacja rangi „humanisty” w dzisiejszym „ekonomicznym myśleniu” społeczeństwie. Znikome perspektywy atrakcyjnej pracy, czasem brak jakiegokolwiek perspektyw, wywołują u studentów uniwersytetów kompleks społecznej nieprzydatności, poczucie zmarnowanego czasu, lęk przegranej w walce o byt. Dotyczy to w szczególności studentów typu filologicznego i historycznego.

## monachomachia w studenckim wydaniu



W materiałach pisanych ich ręką jest jakiś wielki smutek, przerażający się czasem w desperacki protest. Jest w nich żal do technizującego się społeczeństwa, faworyzującego przedmioty materialne i tych, co je tworzą. Jest gorzka zazdrość wobec zarabiających wielokrotnie więcej „młotów”, wobec perspektyw awansu i możliwości żyłowego „wybiecia się” — którymi dysponują absolwenci uczelni technicznych. Są wreszcie żale pod adresem rodziców, znajomych i opinii publicznej. Żale o to, że wybrało się taki a nie inny kierunek studiów, że zostało o młodego człowieka odpowiedziane, a okazał się jedynie złuda — złuda barwna, ale pozbawiona znaczenia...

Piszą studenci uniwersytetów: „wszyscy jesteśmy potrzebni”. Ale ten okrzyk jest pełen niewiary. Czytającemu robi się przykro, widzi, że to okrzyk samoszukaczy, beznamienny i cichy. Okrzyk człowieka bezradnego... Piszą też, że są skazani na przeciętność. Że tylko nieliczni z ich poprzedników zrobili jakąś taką karierę, a co do nich to zanosi się, że będzie jeszcze gorzej. I znów te wnioski...

Wnioski są prawie w każdym liście. Są te, z pozoru altruistyczne, w których ci „oszukani przez los” przestrzegają swych potencjalnych następców przed równie pochopnym podejmowaniem studiów uniwersyteckich. Są postulaty, aby na władze uczelni nałożyć obowiązek opieki nad absolwentem w trudnych chwilach startu. Niektórzy chętnieby, aby skutecznie patronował im wtedy także ZSP... Są też otwarte ataki na system szkolnictwa wyższego, zarzuty marnowania pieniędzy na kształcenie ludzi dla których nie ma odpowiedniej pracy. Z wyrzutem piszą studenci o zatrudnianiu

absolwentów uniwersytetów na stanowiskach wymagających najwyższej kilkunastolecznej przyuczenia...

Wszystkie te żale i pretensje przesłane przez si- to osobowości każdego z piszących i dyskutujących, występują w różnym zestawieniu i nasileniu — odpowiednio do stopnia indywidualnych prze- myśleń i możliwości dokonywania obserwacji. Ele- mentem wspólnym dla wszystkich wypowiedzi jest żal, rozgoryczenie i zazdrość... Zazdrość, gran- nicząca czasem z nienawiścią w stosunku do tych, co nie dość, że są intruzami, to jeszcze zbierają kokosy. „Humanistyczna dusza” nie może znieść, pogodzić się z myślą, że taki „młot” może być bar- dziej ceniony. No i jak tu żyć z takim ciężarem?

Budują więc studenci uniwersytetów różne teo- ryjki — na swój użytek „ku pokrzepieniu serc” — mające im pomóc utwierdzić się w przekonaniu, że to tylko świat jest niesprawiedliwy wobec nich, że to tylko wielka pomyłka wieku technizacji. Dowo- dzą tepty przeciwników, biorąc intelektualny re- wanz za krzywdy, jakie zgłotował im dzień dzi- siejszy. To bardzo ludzkie, że w chwili, gdy odbie- ra im się i tę pociechę, wówczas mogą zdobyć się tylko na odruch szczepiającego gniewu.

I tym większe oburzenie, im zagrożenie staje się wyraźniejsze. Największy krzyk podnosi więc uni- wersytecka mierność, wszyscy ci, co czują się naj- bardziej zepchnięci na margines. Ludzie świadomi swych możliwości, zdolni i pracowici, z daleka trzymają się od tego hałasu. Oni wiedzą, rozumie- ją, że człowiek — każdy człowiek — znajdzie w końcu właściwe sobie miejsce. Że posada, awans, pieniądze, uznanie — wszystko to, na co każdy czeka — przyjdzie w końcu w wymiarze właści- wym dla danej konkretnej jednostki. I że to trze- ba sobie wywalczyć, a nie wykrzyzczyć. Wiedzą, że to nie profil wykształcenia ostatecznie decyduje o karierze, ale decydują rzeczywiste wartości, ja- kimi dysponuje człowiek kończący studia.

Jest to więc monachomachia między miernością. Ale u jej podstaw nie leży głupota, nie decydują też względy natury historycznej, bądź te wynika- jące z tradycji. Źródłem jest tu konflikt społeczny, wynikający z nadprodukcji uniwersyteckiej mier- noty, dyplomu zrównanej z ogółem ludzi po- siadających wyższe wykształcenie. Moc tego pa- pierka prowadzi bowiem do przerosu aspiracji, do zaślepienia, do błędnej oceny społecznego zapo- trebowania. Absolwentom uniwersytetu wydaje się, że będąc filozofem, teologiem czy też historykiem, człowiek taki automatycznie staje się społeczeństwu niezbędny. Zaś niechęć do korzystania z usług oferowanych przez tego rodzaju spe- cjalistę tłumaczona jest jako wynaturzenie, efekt technizacji... Tymczasem potrzebni są tylko nieliczni. Potrzebni są najlepsi... Nasyconie kadra huma- nistyczna w wielkich miastach osłaga powoli war- tość ekstremalną. Zaś przy wybieraniu najlepszych, ci nie wybrani zawsze czują się rozgoryczeni...

Tymczasem przemysł wciąż jeszcze wyciąga ręce po nową kadre. Tu się jeszcze nie wartościuje. Tu jest nadal zapotrzebowanie — także na mierność. Uczelnie techniczne mają więc zbyt na każdy to- war — nawet na ten niewiele wart... Stąd zapew- ne zadowolenie i pewna mina studentów politech- nik, stąd bierze się ignorowanie głosów uniwersy- tekich „bubli”, stąd lekceważenie „monachoma- chii”. I tylko czasem dochodzą do głosu czynniki ambicioanalne. Organizuje się wtedy turnieje Uni- wersytet — Politechnika, albo coś w tym rodzaju — i problem z głowy...

A tam, na uniwersytetach pozostają ludzie bez nadziei i bez złudzeń. Nagle ogłoceni z teoryjek podbudowujących ich poczucie własnej wartości, pozostają z nowo odkrytą prawdą. Prawdą, w którą nikt nie chce uwierzyć, która nikomu nie jest potrzebna... I w takich chwilach pisze się materia- li, w których jest tylko krzyk, jest złościwe oszczerstwo, zaślepienie, niepokój, żal, gorzka roz- czarowania — wreszcie płacz nad własną pomyłką i poczucie krzywdy, najbardziej bolesne ze wszy- stkich doznań. I to jest normalne i ludzkie. Tyle, że kiedyś w przyszłości będą może pisać w podob- nych chwilach anonimowo, donosząc... I to także będzie dla nich naturalne i ludzkie. Tak oto, tutaj, już teraz wylega się nowy rozdział naszej „monacho- machii”...

MAREK STYPANIAK

## NIBY — JĘZYK

Niemal wszyscy, częściej lub rza- dziej, kapeczmy ojczystą mowę. Przed paru laty „Kultura” zamieszcza

wniosek jednego z czytelników, by wobec masowego upowszechnienia się pewnych błędów językowych uz- nać je oficjalnie za normę i w ten sposób zlikwidować sam problem. Projekt wywołał rzecz jasna sprze- ciw i oburzenie. A jednak nieraz wy- dawać się może, że to zalegalizowa- nie już jakby się dokonało...

Z poprawnością językową mają niekiedy na bakier dziennikarze pra- sowi. Wystarczy wziąć do ręki wy- dany ostatnio przez Ossolineum „Słownik języka nby-polskiego czyli błędy językowe w prasie”, aby stwier- dzić, że grzeszków jest sporo. Pozy- cja ta służy ma zresztą nie tyle wytykaniu błędów, ile raczej wyeli- minowaniu ich z użycia. Z podobną myślą ogłoszony został niedawno na antenie radiowej tydzień kultury ję- zyka (kryje się tu jakby zachęta, by przeliczować radio: mógłby być na łamach gazet i czasopiśmie miesiąc albo, jeszcze lepiej, rok poprawno- ści...).

Przejdźmy jednak do rzeczy... Otóż warto być może zwrócić uwagę na to, czego wspomniany słownik już nie uwzględnia, a mianowicie na po- wtarzające się często w prasie błę- dy w terminologii muzycznej. Doty- czy to głównie tekstów o muzyce rozrywkowej — zapewne dlatego, że na ten temat piszą przeważnie dziennikarze nie-muzycy... Oto kilka charakterystycznych przykładów z lokalnej prasy (błędy takie same lub podobne znaleźć można i gdzie indziej):

Rozpowszechnione określenie: „zes- pól wokorno-muzyczny”. Niby wiado- mo o co chodzi, a przecież nie spo- sób nie zakwestionować. Skoro mu- zyka, zgodnie z jedną z podstawo- wych klasyfikacji, dzieli się na wokal- ną i instrumentalną, logiczne jest, że zespół trzeba nazwać również: wo- kalno-instrumentalny. Termin po- przedni porównać da się do takiego dziwolągu jak „drużyna piłkarsko- sportowa”.

Nierzadko jesteśmy informowani, że zespół da „recital”. Tak, jakby zapomniano nagle, że słowo to od- nosi się do czegoś zupełnie innego. Oznacza ono przecież występ po- jedynczego solisty wypełniającego swymi produkcjami cały wieczór. Chyba, że chodzić ma tutaj o ukry- tą ocenę: „zespół, proszę państwa, partoli... jak jeden mąż”.

Dowiedzieć się możemy ponadto, że ów nieszczytny „zespół wokorno- muzyczny” reprezentuje w swym „recitalu” muzykę „elektroniczną”. Termin bardziej skomplikowany... No cóż, wypadłoby jednak odróżnić granie na instrumentach podłączo- nych do prądu (nawet tych najbar- dziej nowoczesnych) od eksperymen- talnych kompozycji preparowanych na taśmie magnetycznej przy pomo- cy generatorów w studiu.

Tego typu błędy spotkać można już w zwykłych tekstach informa- cyjnych. Gorzej, gdy bierzemy do ręki próby recenzowania występów czy też płyt wykonawców młodzieżo- wych. Recenzowania — bez należy- tego dystansu wynikającego z ogól- nej wiedzy muzycznej. Używane wówczas terminy muzykologiczne — bez zrozdumienia ich sensu (zasłysza- ne lub przejęte „od kolegi po pió- rze”) — prowadzą nieraz do absur- du. Łatwo przy tym wyczuć, że w zamyśle piszącego służyć mają one często nobilitowaniu najprostszych zjawisk artystycznych. Dla ilustracji — konkluzja jednego z łódzkich o- mówień płytowych: „W twórczości grupy ABBA obserwujemy nieustan- ną dążność do rozwoju sonorytyki wykonywanych utworów (...)” Mała to pociecha, że najprawdopodobniej nie przeczytał tego prof. Józef Cho- miński, twórca teorii sonorytyki na gruncie muzyki współczesnej. A swo- ją drogą źle byłoby, gdyby ratunek miał polegać tu na nie czytaniu tego, co zostało wydrukowane...

JANUSZ JANYST

ODGŁOSY 9

## NIE TYLKO HISTORIA

Wiek XIX był — jak wiadomo — okresem szczególnie intensywnego rozwoju nauki w licznych krajach europejskich. Nauka w coraz to większym stopniu przestawała być prywatną sprawą ludzi, którzy się jej poświęcili. Rządy wielu państw — Prus, Anglii, Francji i innych — poczęły sobie bowiem zdawać sprawę z tego, że rozwój nauki, to już nie tylko sprawa prestiżu danego kraju, że ma ona zasadnicze znaczenie dla jego potencjału. W tych okoliczno- ściach prywatny mecenat nad nauką w coraz większej mierze zostaje zastępowany przez mecenat państwo- wy, co wiąże się ze ściślejszym po- wiązaniem nauki z potrzebami pań- stwa.

Ze znaczenia rozwoju własnej, ro- dzimnej nauki, dla całokształtu życia narodowego, dobrze zdawali sobie wówczas sprawę Polacy. Nasza sytu- acja była jednak nad wyraz trudna: nielustnienie własnego państwa, po- dziół ziem polskich między trzy za- borcze mocarstwa, tworzyły dla roz- woju nauki polskiej bariery zdawa- łoby się nie do pokonania. Dopiero od lat sześćdziesiątych XIX wieku polepszyła się sytuacja w zaborze austriackim, w związku z autonomi- zacją Galicji. Na to, by poprawiła się w innych częściach ziem pol- skich, trzeba było jeszcze długo po- czekać.

W warunkach braku własnego pań- stwa, rozwój nauki polskiej leżał w większej mierze, aniżeli w innych krajach, na barkach świątynnych jedno- stek i organizacji o charakterze spo- łecznym. Nie było przypadkiem, że rozwinęły się więc u nas formy życia naukowego, odgrywające pierwszo- rzędne znaczenie, które gdzie indziej

nie pełniły już tak znaczącej roli. Myślę tu na przykład o instytucji naukowych konkursów. W Europie czasu, kiedy tak zwane konkursy a- kademickie w znacznej mierze okre- ślały rozwój nauki, przypadły na wiek XVIII. U nas wiekiem nauko- wych konkursów było dopiero XIX stulecie. Była to wszakże tylko jedna z charakterystycznych dla tych cza- sów form rozwoju życia naukowego. Inną — o której dziś już niemal za- pomniiano — były fundacje stypen- dialne.

Dziś, z trzech spośród takich fun- dacji, dodajmy — rzeczywiście waż-

aktywności społecznej, przyjaciela Joachima Lelewela, człowieka ogo- rmych zasług, którego pamięć nie zatarta się po dziś dzień. Fundacja ta posłużyła — jak skrupulatnie ob- liczyła autorka omawianej książki — 44 stypendystom, „którzy w następ- nych latach objęli przeważnie kate- dry w wyższych uczelniach” w wię- kszości już w odrodzonej, niepodle- głej Polsce. Drugą z omówionych przez M. J. Nedzę była fundacja doktora Zenona Pileckiego, również lekarza, który dorobił się fortuny nie, jak S. Gałęzowski, za Oceanem, ale na Kaukazie. Z funduszu Z. Pilec-

## FUNDACJE I STYPENDIA

nych, które odegrały trudną do przecenienia rolę w rozwoju nauki polskiej — poświęciła swą książkę Maria Julita Nedza. Dziełko jej, opatrzone przydługim tytułem: „Poli- tyka stypendialna Akademii Umieję- tności w latach 1878—1920. Fundacje Gałęzowskiego, Pileckiego i Osław- skiego”, ukazało się we wrocławskim Ossolineum w serii wydawanych przez Instytut Historii Nauki, Oświa- ty i Techniki PAN Monografiach z Dziedziny Nauki i Techniki (1978). Au- torka omówiła tu dzieje trzech fun- dacji, oddanych do dyspozycji Aka- demii. Pierwszą była fundacja dok- tora Seweryna Gałęzowskiego, leka- rza i działacza emigracyjnego, osia- dłego w Paryżu, znanego z rozległej

kiego kształcił się za granicą 20 młodych polskich uczonych. I wre- szcie najmłodsza z wszystkich trzech, fundacja Wiktora Osławskiego, emi- granta po powstaniu listopadowym, który dorobił się znacznego majątku nie na medycynie, ale — co przy- znać trzeba, było niezmiernie rzadkie — w grze na giełdzie. Również i ta fundacja przyniosła znaczne korzy- ści, pozwalając na kształcenie za gra- nicą sporego grona polskich mło- dych pracowników nauki. Już w 1907 r. stwierdzono — podkreśla autorka omawianego dziełka — że w ciągu dwóch lat istnienia fundacji ośmiu uczonych korzystało ze stypendiów zagranicznych, zaś 14 docentów wyż- szych uczelni otrzymało z niej zasli-

ki. W przeciagu półwiecza Akademia Umiejętności udzielała, ze środków pochodzących ze wszystkich trzech fundacji, stypendia na studia zagra- niczne aż 102 osobom, z których spo- ra grupa korzystała z tej pomocy przez okres 2 a nawet 3 lat. Stypendyści pochodzili ze wszystkich zabórów, co niewątpliwie także było wyrazem ogólnopolskiego charakteru najwyższej wówczas instytucji nau- kowej na ziemiach polskich. A prze- ciż nie były to jedynie środki, który- mi dysponowano na podobne cele, ani też Akademia nie była — przy wszystkich swych zasługach i zna- czeniu — jedyną polską placówką naukową, zajmującą się tego rodzaju działalnością. Nie zapominajmy o Ka- sie im. Mianowskiego.

Książka M. J. Nedzy traktuje o sprawach ważnych nie tylko dla hi- storyków nauki. Do dziełka tego mo- żna by z pewnością mieć pewne pre- tensje, choćby za to, że brak w nim szerszego, syntetycznego oddachu porównawczych odniesień i tym po- dobne. Zostawmy to jednak nauko- wym Zoilom, którzy będą pisali z tej książki szczegółowe recenzje. Wa- żne, że zwróciła ona w oparciu o bogatą naukową dokumentację uwagę na niezmiernie istotny, a niedo- strzeżony w dotychczasowych bada- niach problem ważny — jak owie- dzieliśmy — nie tylko z punktu widzenia historii nauki, ale dla lep- szego zrozumienia wykraczających poza nią ogólniejszych problemów naszej przeszłości.

ANDRZEJ F. GRABSKI



# KRYSTYNA STRYSZOWSKA

## WIZYTA U MAMY

zapal światło mówi mama  
dawno cię tutaj nie było  
reumatyzm mnie łamie w tym drzewie  
kwiaty mam potargane i wyschła woda

co u ciebie pyta mama  
niestety ręce mam zajęte  
ale możesz ucałować  
wyschniętą korę mego policzka  
wewnątrz jest chleb dla ciebie  
otwórz drzewo moje ciało

doroślejsze stwierdza mama  
a że mnie okruszek ciągle mi zimno  
chyba że lato płaskiem syple w oczy  
postój jeszcze proszę mama

## NOC

to właśnie wtedy gdy zapalamy  
ostatniego papierosa  
z wnętrza ściany płyną ku nam  
rzeki mlecznego spokoju

złote żuczki obawy  
chowają się za szafy  
rzeczywistość wplata się we włosy  
czujemy jej okragłość otwartymi rękami

jedynie firanka oddycha niespokojnie  
łagodna Kassandra

dywan podczołgał się już do ściany  
i zbladła poduszka  
drzwi nagle ogłuchły  
światło zaciska powieki  
a furtka krzyczy do okien  
fiatr się powiesił

## URATOWANA

W taką miłość  
w taką głębię  
skoczyłam  
poza mną świat  
spłonął cały

O twarz moją  
gdy płynę  
ocierają się setki światełek  
wokół barwy krąży tak cicho  
jak motyle

I słysząc  
dopada się  
serce

# RAFAŁ ORLEWSKI

## PYTANIE O SEN

Kiedy  
zobaczę słońce,  
które sam stworzyłem  
i stanę przeciw  
słońcu,  
które mnie stworzyło?

Kiedy rozbiję księżyc  
wycięty w dzieciństwie  
z szyby wiejskiego okna?

Kiedy połamie kosę  
krew pamiętającą,  
a mnie  
w lipcowy upał  
gnającą ku polom?

Kiedy się ten kolowrót  
zamieni w moje koło?

Kiedy ten pęk  
igliwia zbieranego skrzętnie  
na czas mi przydany  
stanie płonącym wieńcem  
na odkrytym czole  
i tak już pozostanie —  
ponad wymiarami?

Kiedy przestanę dręczyć  
pytaniem —  
za co mnie sędzić będą?

A przecież tylko żywi  
pytamy o to,  
co z nas  
i po nas.

1977

— I co, jest coś do picia? — spojrzała na syna z niepokojem. Pot spływał małymi strużkami w brudach jej podpuchniętej od niewyspania i zmęczenia twarzy.

— Nic już nie ma — odpowiedział — zamknęli barek. Mają inwentaryzację.

— A ten... saturator z wodą sodową? Może napilibyśmy się wody sodowej ze sokiem?

— Nieczynny — odpowiedział z rezygnacją, sadowując się na ławce. — Butle z gazem zamknięte na kłódkę. Rób co chcesz, a pic nie ma co.

Matka podała mu ciężką torbę, wypełnioną prowiantem. Położył ją na kolanach, uważając, żeby zatłuszczone opakowania kanapek nie pozbudziły świeżo wyprasowanych spodni.

— Kupiłem gazetę, ale są tylko codzienne. Tygodniki już sprzedali.

Siostra wyjęła z drugiej siatki kurę na zimno.

— Ten upał — westchnęła — kto pomyślałby, że dziś będzie tak gorąco?

Syn ukradkiem wsunął obgryzione kości pod ławkę.

— Mamy jeszcze półtorej godziny czekania. Taki upał się zrobił.

Rozpostarł szeroko płachtę gazety.

Siedząca pośrodku matka — mocno i stanowczo zacisnąwszy wargi — miotosiła w zamysleniu wpięty w kłape narzućki niewielki srebrny znaczek, oznakę człowieka zasłużonego w swoim fachu. Chłopiec wraz z siostrą zaczęli po raz któryś z rzędu czytać zmietoszoną uściskiem palców gazetę. Na tytułowej stronie czarne, tłuste podkreślenia w tekście wskazywały czytelnikowi główne tezy artykułu wstępnego. Chodziło w nim o przyspieszony wzrost budownictwa mieszkaniowego.

— Trzeba będzie załatwić mieszkanie za ojca — chłopiec, złożwszy gazetę, odwrócił głowę do matki — teraz przyznają ja na pewno szybko.

Tę uwagę wyrwał z ośpienia siedząca w środku kobieta. Widać to było po ściągnięciu się brwi i zmarszczek twarzy. Zapytała z ożywieniem i nadzieją:

— Myślisz, że nam dadzą?

Ten zaś stwierdził arbitralnie:

— Bo teraz możemy ich zasachować. Nie otrzymałaś nowego mieszkania w porę, gdy jeszcze ojciec mógłby się do niego przenieść. Wszyscy razem opracujemy wspólnie urzędowe pismo w twoim imieniu. Pójdzie im w pięty.

Jego siostra uważnie słuchała tej leniwej wymiany słów. W jej głosie drgało coś jeszcze poza chrypką, wywołaną wysuszeniem gardła, gdy powiedziała do nich z łagodnym smutkiem:

— Naprawdę nie wydaje mi się, aby teraz była pora lub właściwa okazja do tego rodzaju rozmów.

W rzucenych spokojnym tonem słowach nie brzmiała przysaga, tylko zmęczenie i przypomnienie zdarzeń, wywołane słowami brata.

— Ale mieszkanie, mieszkanie... — matka kręciła się niespokojnie.

Zamilkli, jednak zgodnie, powracając do wertowania gazety i swoich myśli.

W autobusie cała trójka siedziała milcząco. Matka wyglądała przez okno. Mimo zaduchu rozpalonych siedzeń z skóry i parzącej bliskości blachy nie rozluźniali mięśni.

Wysiedli na przystanku Duszyńska-Las, zmierzając wprost do postójni taksówek. Prowadziła ich matka, stanowczym i upartym krokiem starego konia w zaprzęgu. Patrzyła wprost przed siebie. Srebrny znaczek zasługi migotał ostrymi refleksami posrebrzanej blachy.

Taksówkarz, drzemający w odrapanym pudle starej „Warszawy”, włączył w milczeniu silnik. Nie pytając, dokąd mają jechać, skierował przód zdezelowanego samochodu w stronę lasu. Przejeżdżając obok samotnie stojącego, piętrowego budynku, otoczonego dużym owocowym sadem, przyhamował lekko, rzuciwszy przez ramię:

— Wzięć księdza?

— Dziękujemy bardzo, już był — grzecznie odpowiedziała matka.

Jodłowo-sosnowy las po obu stronach traktu był oazą świeżego, żywicznego zapachu. Kierowca i pasażerowie głęboko oddychali wpływającym przez okna taksówki ciepłym, ale orzeźwiającym oddechem lasu.

Po dwóch kilometrach drogi ujrzeli na poboczu traktu pierwszych spacerowiczów. Odziani w pidżamy, spacerowali dwójkami i trójkami. Wśród nich widzieli młodych, chłopców, kilkunastoletnie dziewczyny i wielu ludzi starszych, zgłębiających w pół. Przeważnie wszyscy byli chudzi. Czasami, chącąc i spluwając co kilka kroków, szedł ktoś bardzo wiekowy, ciągnąc z wysiłkiem stopy po soczystej zieleni murawy. Nikt ze spacerujących nie zagląda jednak w głąb lasu. Nie zrywano wczesnych pozłomek.

Dojechali do murowanej bramy. Milczący przez cały czas kierowca, cmiący flegmatycznie papierosa i zbierający co parę minut dłonią pot spod siatkowej podkoszulki — z jej oczek wychodziły siwe włosy rosnące kepkami na piersiach i sflaczały w brzuchu — wystawił w tył rękę po naleźność. Spojrzał na kilka dziecięcych łóżeczek, które włożyła w nie matka. Leżały nieruchomo na jego dloni. Chłopak po chwili dołożył do nich jeszcze jedną monetę. Wiedział, że w tego rodzaju sytuacjach, w jakiej się znajdowali — a taksówkarz wyczuwał ją od razu, bo jedynymi jego klientami byli ludzie odwiedzający budynek znajdujący się za bramą — było w dobrym tonie dać napiwek. Mimo tego, że cały czas jechali z normalną prędkością.

Za bramą spacerujących było znacznie więcej. Siedzieli też na ławkach. Inni krążyli po wygrzanych alejkach, poufale trzymając się pod ręce i szeptać do siebie.

Mur, w którym brama i sąsiadujące z nią dwie furtki czyniły jedyną przerwę — wyłom, prowadzący do lasu — wykreślał wielusetmetrową przestrzeń porośniętą kępami drzew

i krzewów. Przestrzeń tę dzieliły na mniejsze płaszczyzny alejki i trawniki. Pośrodku zaś tej wielkiej polany, wydartej lasowi, stał okazały, dwupiętrowy budynek, pokryty flankowaniem kolumnami, pilastrow i wijących się sztukaterii.

Kiedy podeszli bliżej budynku, poculi zapach przysmażonej w dużych ilościach margaryny i specyficzną, kminkową woń kapusty. Trzech tegich mężczyzn w poplamionych białych fartuchach wchodziło przez schody wejściowe duże aluminiowe koły, pełne chlupoczącej cieczy. Kobiety głos zaczął monotonnie krzyczeć gdzieś z wysokości pierwszego piętra:

— Obiad, obiad...!!

Cała trójka zatrzymała się, zakłopotana widokiem wielu drzwi, prowadzących do gmachu. Widoczne było, że budynek ten kilkakrotnie przebudowywano, przebijając w nim nowe korytarze, których topografia dla laika była trudna do odgadnięcia. Weszli więc w końcu do tej części, w którą wtoczono kotły ze strawą. Z lewej strony hallu przebito mury pomiędzy kilkoma pokojami i wstawiono od strony korytarza drewniane ramy, wypełnione matowymi szybami. Tabliczka informowała, że znajduje się tutaj punkt zabiegowy.

Córka wywołała zza przepierzenia siostrę szpitalną. Ta pokazała im, kądery mają iść i podała numer pokoju. Szli gęsiego, matka na przodzie. Jedzący odpowiadali ich wzrokiem, gdy tak uroczysto defilowali przed nimi. Wszyscy troje — świadomie lub nieświadomie — układali tempo stąpnieć po wyglansowanej powierzchni posadki w uroczysty, powolny rytm. Otworzyli drzwi pomieszczenia numer czterdzięci cztery: to tutaj skierowała ich pielęgniarka.



Niewielka separotka, przez próg której poważnie przeszedł, została zaopatrzona w dwa łóżka, zajmujące prawie całą przestrzeń. Dodatkowo stały tutaj jeszcze szafa, stolik, krzesło i miednica postawiona na niskim stołku. Jedno z posłań było nie pościelone — założone ludzkimi odchodami, matracę leżały niedbale rzucone na żelazne sprężyny. Z drugiego dobywało się rżące charczenie. Człowiek, leżący w piżamie na kocu, przykryty po brodzie koldrą, zaczął się na ich widok dźwigać z pozycji na wznak i starał się wyprostować. Złapał się rękoma za poręcz powoli wychylał korpus do przodu, kaszłając i charcząc, jakby zamiast płuc miał rozstrojone dziecinnie organki. Jednocześnie odchyłał okrycie w bok i wysuwał spod koldry nogi. Palce stopy wyrastały ze stawów, okragłych, jak małe jabłka. Żył, fioletowoczarne, grube, z dziwnymi naciękami, wily się pod szarą skórą.

Matka, zacisnąwszy ręce na torebce, patrzyła na pasiaste matracę. To, co powiedziała, było może spowodowane nagłym uświadomieniem sobie prymitywnych warunków umierania, jakie stworzono w tym pokoju konającym. Zapytała bowiem, wskazując palcem na puste posłanie:

— To tutaj umarł mój mąż?

Człowiek, nadal dźwigający się ze swego łóża, miał ciało wyglądające tak, jakby miało zaraz zacząć odlatywać dużymi płatami od kości. Chrypliwie stwierdził:

— Nie na tym. Na tym — wskazał w dół na koldrę, zsunietą na uda — to jest wygodniejsze. Więc siostra mnie nie przeniosła.

— Jak ojciec umarł? — poważnie i godnie spytał chłopiec.

— A nad ranem — rozciągając wyrazy, odpowiedział chory — a serce miało mocne, ho, ho! Ciągnął zdecydowanie dalej, jak opowiadacz dyktoryjek, który smakuje historię, może nawet nie interesującą dla słuchających, dla niego jednak będącą najciekawszą sprawą na świecie.

— O piątę rano. Pięć mu się chciało, to dałem mu butelkę z wodą pod poduszkę. Mniej się męczył. Jo mu dałem tą butlę, jo — mlaśkał wargami.

Dłonie jednego teraz lokatora pomieszczenia numer 44 leżały oparte płasko o metalowy rant posłania, sękatę, rozłożystą. Zakrzywione, grube paluchy o żółtych, szponiastych paznokciach gmerały w fałdach prześcieradła.

Kobieta odwróciła się, aby otrzeć łzę. Otworzyła trzęsącymi się dłońmi torebkę, wyjęła pięćdziesięciolotowy banknot i wręczyła towarzyszowi zmarłego męża.

— Dzięki — mruknął obdarowany, powoli unosząc papierkę do kieszonki piżamy — rzeczy męża to ułożyłem pani w szafie, ino zabrac.

Chłopak wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Rozcapierzone, grube palce chciały wyrwać z paczki smukły, delikatny wałek papierosa.

— Zapalniczkę pana ojciec to mi zostawił — mruknął poufale do chłopaka — dobra, chińska, ino benzyna trochę za dużo pali.

Przez uchylone drzwi zajrzała do pokoju kobieta głowa w białym czepku.

— Proszę pani — głowa uśmiechnęła się konfidencjonalnie do matki — gdyby państwo chcieli zobaczyć ciało — chociaż właściwie jest to zabronione — to trzeba porozmawiać z panem Józefem. On między innymi opiekuje się kostnicą.

Wyszli z dwuosobowej klitki w tym samym rytmie kroków, tylko bardziej majestatycznie — albo też teatralnie. Zza kolejnych z rzędu drzwi błysnęło ku nim zaciekawione spojrzenie starowinki w olbrzymich rogowych okularach na pobrudzonej twarzy. Usłyszeli jej szept:

— Ci po Sztettera przyjechali, po Sztettera? A po Stachonia kiedy?

Młodzieńcy, dziewczęcy głos z głębi pokoju odpowiedział. — Ci to po Sztettera. A pan Stachon, to jeszcze żyje, parę dni jeszcze mu do śmierci zostało.

Pana Józefa napotkali w alejce, prowadzącej wzdłuż krótszego boku sanatorium, przy pustych już kotłach. Usłyszawszy ich prośbę o otworzenie kostnicy, od razu wyrazili zgodę. Jego tęga, rumiana twarz zroszona kroplami potu, zaczęła drgać we współczującym grymasie, kiedy usłyszał nazwisko matki.

— Ależ już idziemy, tą alejką przy murze, aż za tamtą kępę drzew — wskazał palcem grupę rozłożystych jarzabin. Ja tylko wezmę z pakamery klucz, a państwo niech już tam idą — drgał cały z chęci przyścia z pomocą.

Kostnica została zbudowana, z czerwonych, solidnie wyglądających cegieł, pobrawiających już od deszczów. Był to budynek średniej wielkości, przypominający murowane w pruskim stylu chłopskie stodoły na Pomorzu. Tylko drzwi były inne: odpowiadały wielkością wrotom dobrej stodoły, rozcinając symetrycznie frontową ścianę od fundamentów do okapu dachu. Wykonano je z grubych, dwucalowych desek. Pośrodku nich ogromny, czarny krzyż — może znak prawdy, kryjącej się pod uludą sielskości krajobrazu, jaki ich otaczał. Widok dwóch nierównej długości belek krzyża, złączonych na wpusy i bitych bretnaliami, w migawkowym postoju przed trupiarnią ułożył się w ich mózgach w myśl o ludziach, którzy co roku przyjeżdżali tutaj na coraz to dłuższy pobyt. Zobaczyli bezżebne staruszki, wyschniętych sardców, zmordowanych wojną, pracą i brakiem opieki, miedlających podczas posiłków rozgotowane kartofle i przenoszonych w końcu tutaj, nocą lub wczesnym rankiem.

Syn pomógł Józefowi odciągnąć w bok żelazną sztabę i rozsunąć drzwi.

W środku trupiarni nie było nic, zupełnie nic, oprócz dwóch ciał na noszach, owiniętych szczelnie w grubą, jutową tkaninę i przywiązanych sznurami do kijów nosideł. Nawet wtedy, kiedy ujrzeli krzyż, spodziewali się, że wewnątrz budynku będzie jeszcze coś innego, niż trupy. Myśleli, że ujrzą ścianki działowe, sufit, może jakiś korytarzyk. Nie było jednak nic, oprócz tych dwóch ludzkich zewióków. Nic, co dałoby szansę namysłu, przyzwyczajenia do smutkiego, mdłego zapachu śmierci.

Pan Józef otrząpął rękawy fartucha, zdjął czapkę. Chłopak wytarł dłoń o spodnie. Obie kobiety stanęły naprzeciw noszy.

— Rak ślodziły — postugacz wskazał ręką na nosze leżące bliżej jego znoszonych sandałów — płuca może i wytrzymająby jeszcze tę parę lat. Ale na raka to lekarstwa nie ma.

— Czy można... ojca... zobaczyć z bliska? — tłumiając ręką spazmatyczne łkania, zapytała siostra chłopaka.

— Tak, tak — zakrzątał się Józef, odcinając drugie, nie interesujące teraz nikogo zwłoki w bok — kawaler chwyć ojca za nogi, to odwiąże się zaraz sznury.

Chłopiec schwył płótno tam, gdzie Józef wskazał palcem. Myślał, że nachylał się nad trupem, że powinien chyba czuć obrzydzenie — chyba powinien je mieć — odczuwał zaś tylko pustkę i chłód wewnątrz swego ciała.

Józef skończył rozwiązywać sznury. Głowa, która wysunęła się z kokona grubego prześcieradła i poleciała w tył, szczyrzyła do nich rozchylone w grymasie bólu czarne pieńki zębów.

— Miał sobie zrobić protezę — przypomniawszy siostrze czynność, która najbardziej zajmowała ojca przed jego ostatnim wyjazdem do sanatorium. Sam wyrwał sobie zęby, bo bał się dentysty. A próchnica zjadła mu siekacz.

— Boże, jaki on jest wynędzniały — zalamala ręce matka.

Posunięta do ostateczności chudość zwłok nie budziła w patrzących żadnych gwałtownych oznak bólu. To, co tkwiło w środku szarej, przemysłnie zrolowanej osłony, wyglądało raczej na kawał sprasowanej plasteliny, niż na ciało ludzkie. Tylko odsonięta głowa — łysa, o bezkrwistej cerze, z wywalonym na podbródek wysuszonym językiem — przypominała nieco postać, jaka pamiętała.

Wyszli. Teraz siostra wyjęła z torebki banknot stułotowy i podała ich przewodnikowi ukradkiem, gdy przekręcał klucz w zamku.

Nadal było bardzo ciepło, gdy wysiadali z powrotem na tym samym dworcu, z którego rankiem wyjechali do sanatorium. Ciemnofioletowy napis na białym tle — nie było go przed ich wyjazdem — kiął zapyłone oczy świeżym, jeszcze nie zamiatwiał blaskiem farby

— „AZ”, „AZ”, „SPOŁEM”, „AZ”, „SPOŁEM” — chłopiec czytał machinalnie.

— Od a do zet ubiera Społem — podpowiedziała mu siostra, starannie, pociągając szminką wargi.

Jej brat nie wracał dziś do akademika. Jechali wszyscy razem dalej, do rodzinnego domu. Musiał pomóc w organizowaniu przewozu zwłok, urządzaniu pogrzebu i stypy.

— A co z mieszkaniem w blokach — nagle zapytała matka energicznie — będziemy gnić dalej w tym starym, zimnym lochu, w którym mieszkamy od wojny?

— Mówiłam ci, mamo, że trzeba było szybko załatwić przeniesienie do bloków, na ojca. Pewnie tata pożyłby jeszcze trochę, a my mieszkalibyśmy już na nowym — równie energicznie stwierdziła córka.

— No tak, ale jak to mieszkanie w końcu załatwić?

— Teraz to załatwi się wszystko — syn mówił twardym głosem. Najwidoczniej rozmawiali i myśleli o mieszkaniu bardzo często, bo rozumieł bez wyjaśnienia rzucając sobie wzajemnie półsłówka. — Nikt nie wysunie cię z kolejki. Teraz na pewno. I można pieniądze na meble wziąć z odszkodowania za tatę.



ODGŁOSY 11



Przed paru laty dokonano na łamach „Prasy Polskiej” analizy kilkunastu polskich filmów fabularnych. Analiza ta dotyczyła postaci dziennikarza we współczesnym polskim filmie. Od dawna bowiem było wiadomo, że dziennikarz nie cieszy się zbyt dużym szacunkiem naszych filmowców. Postacie dziennikarzy w filmie to najczęściej osobniki — delikatnie mówiąc — dwuznaczni moralnie, a w najlepszym wypadku śmieszni i godni pożałowania.

Trzeba zresztą przyznać, że ludzie pióra nie pozostali filmowcom dłużni. Postacie filmowców w literaturze także nie budzą szacunku — są to typy dość prymitywne, a w każdym razie bezceremonialne, apokryficzne i bezceremonialne.

Dość sympatycznie filmowcy jawia nam się tylko w książkach pisanych przez filmowców — ale to oczywiste. Podobnie bardzo sympatyczne są postacie dziennikarzy choćby w książkach Władysława Zambrzyckiego — jak wiadomo — znanego dziennikarza okresu międzywojennego. Ale już np. Jerzy Andrzejewski przedstawił w „Popiele i diamentach” postać dziennikarza, raczej groteskowo.

Wróćmy jednak do filmo-

wych postaci dziennikarzy. Nawet w mądrym, choć bardzo gorzkim filmie Wajdy „Bez zniczu” — właśnie dwu dziennikarzy wybrał twórca, aby symbolizowali dwie sytuacje życiowe, spotykane nie tylko w redakcji. Ostatnio jednak znów zrobiono z dzienni-

## TAKIE SOBIE DZIWNOCI

karza balona — tym razem jednak jak gdyby niechcący. Nie sądzę bowiem, aby zamierzeniem autorów filmu „Życie na gorąco” było ośmieszenie postaci dziennikarza, tak przecież okrutnie doświadczony przez film polski.

Jeśli już jesteśmy przy telewizji, to ostatnio ubawił mnie — oprócz „Życia na gorąco” — także magazyn „Pegaz”. Nieraz już pisałem, że redaktorzy „Pegaza” chadają po marginesach problematyki kulturalnej, że zajmują się pół-prywatnymi imprezami (wernisaz przy okazji ślubu czy odwrotne...), że tracą czas na batalie przeciwko jednej grupie piosenki „Polskich Nagrań”, zamiast zająć się problemami

naprawdę istotnymi dla polskiej kultury. Ale niedawno „Pegaz” przeszedł sam siebie. Okazało się, że można zamknąć oczy na to co dzieje się w kulturze poza studium na Woronicza, że można stworzyć zamknięty obieg informacji o kulturze. Oto TV nadała zna-

komity zresztą spektakl „Czarownik z Salem” Millera. Czym więc zajmuje się magazyn kulturalny TV? Oczywiście sztuką. Chwali realizację, zaprasza (znanych z ekranu TV) krytyków, przypomina fragmenty sztuki, komplementuje reżysera. Potem zaprasza reżysera, który — na zasadzie wzajemności — chwali telewizję i reżysera telewizyjnego...

Ludzie kochani! Przecież w polskiej kulturze jeszcze coś istnieje poza zespołem budynków przy ulicy Woronicza w Warszawie. A może TV dać do tego, aby stać się zupełnie samowystarczalną? Oczywiście — można realizować sztukę i samemu je oceniać, ale efektem będzie całkowity rozryw między tym co na Woronicza,

a tym co „gdzieś w Polsce”.

W tym roku czasopismo „Ekran” nie przyznało „Złoty Ekran” w kategorii publicystyki kulturalnej. Po raz pierwszy zgadzam się z tym pismem — naprawdę nie można przyznać nagrody w kategorii, która praktycznie nie istnieje.

Zresztą poza telewizją i sportem w ogóle mało co istnieje. Jak oświadczył niedawno prof. Weiss ze Stołecznego Centrum Rehabilitacji w Konstancinie „żaden polski lekarz nie otrzymał nigdy nagrody za rozstrawienie Polski za granicą, a co najmniej kilkunastu sportowców takie nagrody otrzymało”. A przecież polscy lekarze zapisali się na kartach historii nauki i medycyny dziesiątkami krajów świata.

Nie nie ujmując mięśniom sportowców zacytuję anegdote, przypominaną przez M.A. Styksa z „Życia Literackiego”. Otóż kiedy ambasadora cesarstwa chińskiego w Londynie zaproszono niedługo na wysięgi końskie, odparł: „W Państwie Środka od dawna wiadomo, że z dwu koni jeden zazwyczaj bywa szybszy od drugiego”.

WIDOK

## GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH STANISŁAW CIEŚLAK



„Poeta, to ten co dba, O Honor Dnia”.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

## PROPOZYCJE

Najbardziej rozczarowali mnie Andrzej Zbych i Andrzej Konie oraz pasowany przez nich na polskiego Świętego Leszek Teleszyński. Po pierwszych dwu odcinkach moja znajoma, która znana jest z trafnych określeń, powiedziała krótko: — Głupie to może i jest, ale Leszek Teleszyński taki przystojny, że nie więcej już nie trzeba. Teraz niestety i ona spasowała: — Tego już się nie da oglądać bez zgrzytania zębami — powiedziała. I ma rację.

Dalej jestem od zawodowego partyzantizmu. Wcale mnie nie oburza fakt, że dziennikarz może być bohaterem filmu, nawet jeśli autorzy robią z niego kompletnego idiotę, ale dawno nie widziałem tylu bzdur na temat pracy dziennikarza za granicą. Niedawno w „Expressie Reporterów” Wojciech Giełżyński rozmawiał z Ryszardem Kapuścińskim. Przedmiotem rozmowy była praca dziennikarza za granicą. Ryszard Kapuściński, choć przyznaje, że był w sytuacji, w których też musiał strzelać, to przecież w wyniku swoich wojaży dostarcza nam wiadomości o tym, co dzieje się w krajach „Trzeciego Świata”. Dziennikarz Maj zjawia się na ogół wtedy na ekranie, kiedy już policja nie potrafi dać sobie rady z bardzo brzydkimi, a głupimi przestępcami kierowanymi przez Leszka Herdegenę. I wtedy Leszek Teleszyński z niebywałą łatwością nawraca Brunę na drogę cnoty, a kapłana Kłosa wysyła na tamten świat. Nie ma dlań ani silniejszych, ani mądrzejszych. Polski Święty, Kojak, Robin Hood.

Andrzej Konie zwierzał się w „Życiu Warszawy”, że ten serial nakręcił zgodnie z wszystkimi wymaganiami gatunku, czyli filmu sensacyjnego. Pozwól sobie być odmiennego zdania.

Rozczarowała mnie też „Rodzina Polanieckich”. W ogóle — jak do tej pory — nie potrafię odpowiedzieć na pytanie: po co powstał ten serial, jeśli już Jan Rybkowski dostrzegł w najsłabszej książce Henryka Sienkiewicza jakieś istotne wartości, to mógł nakręcić po prostu normalny film? Po co zaraz serial? Już realiza-

torom „Układu krajenia” zarzucano, że nadużywają cierpliwości widza i każą mu patrzeć na ekran, kiedy tam się nie dzieje. Realizatorzy tłumaczyli się, że chodziło im o nastrój. O co chodzi realizatorom „Rodziny Polanieckich”? Przecież dotychczasową akcję tych kilku odcinków można opowiedzieć w trzech zdaniach, no może w dziesięciu. A pokazać na filmie w kilkunastu sekwencjach, a nie w kilku odcinkach.

## MOJE ROZCZAROWANIA

Nie rozczarowały mnie filmowe konfrontacje, bo nie sobie po nich nie obiecywałem. Dalem się wprawdzie, jak wszyscy, nabrać na „Imperium namietności”. Nagosy Oshima, choć Tadzio S. przestraszał mnie, że Nagosy Oshima nakręcił dwa filmy o podobnie brzmiącym tytule i że oba są tak do siebie podobne jak dzień i noc. Tadzio S. zawodowo zajmuje się filmem, ale też dokładnie nie wiedział, jak to jest z Nagosy Oshimą i jego filmami. W radio podpowiadał mi, że „Imperium namietności”, to jakby „Tango w Paryżu” tylko po japońsku. A okazała się to zwykła baśń w rodzaju „Pani zabija pana” z duchami, torturami i odrobiną seksu, który w tym kontekście wcale nie robi wrażenia. Czy w radio nie wiedzieli, że Nagosy Oshima nakręcił „Imperium zmysłów” i „Imperium namietności” i że są to dwa różne filmy, czy udawali Greka? Stało się.

Dalem się nabrać wraz z innymi, ale pretensje mam tylko do siebie.

Rozczarowali mnie krytycy, którzy dali się nabrać Stevenowi Spielbergowi i próbowali szukać w bajce o UFO wartości intelektualnych. Krzysztof Kłopotowski napisał w „Literaturze”, że film Spielberga „rozczarowuje prymitywizmem myślowym”, a Zygmunt Kałuzynski w „Polityce”, że „jest to zdumiewające połączenie naiwności wręcz infantylnej (...) z bizantyjskim wyrafinowaniem estetycznym...” oraz że jest to „najefektowniejsza bajka, na jaką zdobyło się kino”. Widać oczekiwali, że Steven Spielberg, w „Blińskich spotkaniach trzeciego stopnia” da wyczerpującą odpowiedź w sprawie UFO. A Spielberg opowiedział tylko efektywnie to wszystko, co powszechnie wiadomo na ten temat. Jedni to kładą między bajki, inni traktują UFO nader poważnie. Jak do tej pory nie ma rozstrzygnięcia, kto ma rację.

Na świecie tego rodzaju bajek kręci się znacznie więcej niż my o tym na ogół wiemy. Jedną z nich był emitowany w telewizji „Kosmos 1999”, ale trudno powiedzieć, że była to lepsza bajka. Wszyscy na ogół odwołują się do „Odysei kosmicznej”, nie spostrzegając, że jest to jedyny, a więc prawie żaden, odnośnik. Nasi filmowcy nakręcili przygody pilota Pirxa według opowiadań Stanisława Lema i trudno powiedzieć, że mamy już w tej dziedzinie bogate doświadczenia. O co więc chodzi?

Chodzi z niecierpliwością czekam, czy rozczarują mnie polscy piłkarze, którzy wybrali sobie za przeciwnika nie najsilniejszych do niedawna Węgrów. Ale Węgrzy jakby wzięli się w garść i grają coraz lepiej. Jak się nasi spiszą w tym pojedynku, który ma wyznaczyć stan ich przygotowania do eliminacyjnych rozgrywek? Najlepiej nie spodziewać się wiele, to i nie będzie rozczarowania.

MARCIN RODAK

## SPORT

## I Z CZEGO TU ŻARTOWAĆ?

Ci, którzy nie słuchali w sobotę „Studio sportu” w radiu lub nie oglądali w telewizji, nie wierzyli w niedzielę, że LKS przegrał z Ruchem 0:8. Sądził, że znajomi robią im primaaprilisowy kawał. Ale to była prawda. Niestety, Piłkarze LKS nie grają bowiem w wiosennej rundzie w sposób zadowalający i aż dziw bierze, że mimo wszystko zdobyli 5 punktów i utrzymują się w środku tabeli. W LKS grają zastępcy. Doświadczona kadra piłkarska Łódzkiego Klubu Sportowego leży konusze. Jak to stwierdził sam trener — Józef Walczak, „w Poznaniu cała drużyna wzniosła się na szczyty swoich możliwości”. Po meczu z Lechem wiadomo było, że trzeba spodziewać się słabszej gry i był remis w meczu z Akra, a później przelana łania w Chorzowie. LKS dostał już kiedyś takie łanie. Było to w Mieciu, kiedy piłkarze Stali strzelili lodzianom aż 7 gol. Tylko, że to była zupełnie inna sytuacja. Wtedy zespół LKS nie był tak osłabiony.

Nie mam zamiaru z tej jednej przegranej wyciągać zaraz drugocących wniosków. Przyjdzie nam to jeszcze czas, zobaczymy, co się będzie działo dalej z jedenastką LKS. Teraz warto zastanowić się nad inną sprawą. Oto w sytuacji, kiedy słabnie trzon drużyny, ciężar odpowiedzialności powinni brać na siebie wytrawni piłkarze, do których niewątpliwie zaliczają się Marek Dziuba i Henryk Miłoszewicz. A tu dzieje się coś odwrotnego.

Ryszard Kulesza — selekcjoner kadry narodowej — wypowiadając się w grudniu 1978 roku o możliwościach poszczególnych zawodników, powiedział, że od dawna obserwuje Henryka Miłoszewicza i że ten „wie, co powinien zrobić, aby włożyć biało-czerwony strój”. Henryk Miłoszewicz nie tylko nie posłuchał wygłoszonych przy okazji rad Ryszarda Kuleszy, ale nie słucha również rad Józefa Walczaka. Oto, co trener LKS powiedział o Henryku Miłoszewiczu po meczu z Arką: — „Niepokoi mnie postawa Miłoszewicza, którego nie nie tłumaczy. Zawodzi mnie już w drugim meczu”. W Chorzowie też zawiódł. Tak, jak by po prostu bał się grać. A mecz w Chorzowie nie był tylko taką sobie ligową kopanią. Tymczasem przecież spotkanie z Chorzowskim zespołem na ogół traktuje się w LKS bardzo prestiżowo. Wiadomo, chorzowski Ruch jest prowadzony przez Leszka Jezewskiego, któremu w Łodzi próbowano odmawiać trenerskich kwalifikacji.

Stało się. Ale piłka nadal pozostaje w grze — jak mówi nasz ulubiony sprawozdawca sportowy, nieoceniony Jan Ciszewski. On — to właśnie opowiadał w sobotę o ligowych rozgrywkach i ani słowem nie skomentował meczu LKS — Ruch Chorzów. Telewizja też tego meczu nie pokazała. W ogóle warto się głębiej zastanowić nad pokazaniem ligowych rozgrywek w TVP. Radio daje bezpośredni przegląd tego wszystkiego, co dzieje się na wszystkich stadionach pierwszej ligi. Telewizja, albo wybiera jeden mecz, albo robi dłuższe lub krótsze migawki. Tylko, że w ligowej huśtawce nigdy nie nie wiadomo. Skieruje się kamery akurat tam, gdzie można spodziewać się wielkich sportowych wydarzeń, a z boku wieje nuda, tam, zaś, gdzie nikt się tego nie spodziewał, toczy się piękny pojedynek piłkarski. Tak zresztą było i w minionej sobotę. Wic może jednak w „Studio Sportu” poszukano by innej formuły dla sprawozdań z ligowych rozgrywek.

Wszystkie ligowe mecze odbyły się w ostatni dzień marca, a nie 1 kwietnia i nikt nie mógł podejrzewać, że piłkarze kibicom i działaczom sportowym wyrządzili pierwszokwietniowy żart. A z tymi żartami nie było w ogóle najlepiej. Bardzo byłem ciekawy, z czego będą żartować pisma sportowe lub sportowe działy gazet codziennych. Żartów było w ogóle mało. Niektórzy skorzystali z tego, że ich pisma wychodzą z inną datą, więc udali, że w ogóle nie mają kwietnia i nie trzeba z niczego żartować. Trudne czasy przyszyły na żartownisów, bo to, co do tej pory było niemożliwe, stało się możliwe, a fantazja wcale nie wyprowadza rzeczywistości. Czyż będzie to żart, jeśli ktoś napisze, że piłkarski outsider pokonał najlepszego i to dość wysoko? Niestety, to się może zdarzyć bo to się już zdarzało. Czy będzie to żart, jeśli ktoś napisze, że uznana gwiazda przesiada nagle interesować się grą w piłkę nożną i tylko statystyce swojej drużyny na boisku? Niestety, to się może zdarzyć i to się zdarza. Dziś niektórzy nawet dziwią się, że taka gwiazda przypomniała sobie dawne czasy i znów strzela gole, aby pokazać byłemu trenerowi, że nieustannie posłał go do rezerwy. Rzeczywistość mocno wyprowadza fantazję. Dlatego nie dziwię się, że „Dziennik Popularny” zaproponował jako primaaprilisowy żart powrót Kazimierza Deyna do LKS. Czy to jest naprawdę niemożliwe? W obecnej sytuacji LKS weźmie z pocłowana niech każda była i obecna gwiazda nawet gdyby do tej pory psy nawet i z takimi propozycjami. Jako że łatwo mu w tej Anglii nie będzie. W Łodzi nie musiałby się ani polskiego uczyć ani uczyć się od początku grać nieznanym mu systemem. Tu wszystko jest swojskie. Kółeczka pana Kazika nikogo tu nie dziwią.

CWIEK

BOGDA MADEJ

## LEWYM OKIEM

Zanim sosna stanie się drzewem w pełni użytecznym, wartym ścięcia, wywózki, przeróbki — musi rosnąć około 100 lat. Buk potrzebuje jeszcze 30 lat więcej. Przed 100 laty ludzie nie sięgali wyobraźnią do naszych czasów i nikt buków ani sosen nie sadził. Wycinamy więc prawie wyłącznie lasy samorodne i nie doszliśmy jeszcze do masowej eksploatacji lasów sadzonych planowo, szlucznymi rzędami pod sznur.

Pokołonia przyszłe natomiast będą ścinać tylko to, co my dzisiaj posiejemy i wyhodujemy. Resztki samorodnych puszczy może będą za 100 lat stały jeszcze gdzieś nad Amazonką, może zostanie jakaś część Białowieży i Puszczy Piskiej — chroniona, strzeżona, pielęgnowana. W skali masowej jednak musimy się już dziś uczyć trochę o to, żeby prawnikom nie zabrakło drzewa.

Sadzenie lasów to świetny przykład działania w interesie bardzo odległych potomków. Nikt z ludzi, parających się ciężką pracą w tej branży, nie doczeka owoców swego trudu. Trzeba mieć rzetelną wyobraźnię, żeby nie powiedzieć: o coż mnie obchodzi świat za 100 lat, tyle mamy pilniejszych zmarłych. W odniesie-

niu do lasów mamy tę wyobraźnię, podejmujemy te działania. Czy jednak można to powiedzieć generalnie o wszystkich ludzkich poczynaniach? Czy na niektórych odcinkach nie przeważa właśnie tamto wzruszenie ramion: martwić się o wiek XXII? Przesada!

## TEMAT DO FANTASTYCZNEJ POWIEŚCI

Drewniane chaty naszych przodków — jeśli nie padły pastwą płomieni — wytrzymywały po paręset lat. Potem budowało się nową chatę, w starej mieszkali jeszcze przez pół wieku inwentarz, wreszcie spróchniała do szcztu belki szły na podpałkę, znikając z powierzchni ziemi bez śladu.

Kamienne domy trwały o wiele dłużej, kamień jest wieczny. Nie jest wieczne społwo, ale gdy po ilus tam stulecia taki dom się rozsypany z tych samych kamieni budowało się nowy. Również budownictwo ceglano umożliwilo kilkakrotnie wykorzystanie tego samego

budulca: cegły z rozbiórki nadają się przecież do ponownego użycia, są lepsze od nowych cegieł prosto z pieca. Z gruzów zombardowanych miast powstały w pewnej części nowe domy, lub przynajmniej nawierzchnie ulic. Ale oto nadeszły czasy wielkopły-

towego budownictwa żelazno-betonowego. Dwudziestopiętrowe i większe bloki, montowane z wielkich prefabrykowanych płyt, obliczone są — jak czytalem — na około 80 lat. Co roku powstaje tysiące takich olbrzymów, całe nowe osiedla i miasta. Przyjdzie kiedyś czas — za 80 czy za 100 lat — kiedy całe rowieśne sobie osiedla zakwalifikują się do likwidacji. Nie spotkałem się jeszcze nigdzie z wizją takiej likwidacji. Jak to będzie wyglądać? Wysadzić w powietrze takie gmaszysko nie jest trudne. No tak — ale wtedy za-